NADWISLANIN.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

NADWIŚLANIN

PAMIĘTNIK

Literaturze poświęcony.

.....Kto wam uręczył,
Że dopiero życia jesień,
Dobrze widzi, dobrze czuje?
Jakby życie bez uniesień,
Saméj prawdy było wzorem.

D. Magnuszewski

TOM I.

w WARSZAWIE,
W DRUKARNI MAXYMILIANA CHMIELEWSKIEGO
przy ulicy Senatorskiéj Nro 463.

1841.

POEZYA.

FANTAZYA.

—

»Patrz! na miękkim siadł kobiercu,
Musnął brodę, zwiesił skronie,
Ale nudno mu na sercu,
Wina! dziewic! — klasnął w dłonie:
Z podniesioną wraz zasłoną,
Brzęknie arfa, chór zaśpiewa,
I wybieży dziewic grono.
Ciemne, czarne, biało-lice,
I żydówka czarnobrewa,
I Albjońskie mdłe dziewice

Z przewłóczystym, tęsknym okiem.
Te srebrnemi wieją pióry,
Te zamiecą się potokiem,
Hyżo, śmiało, lekko, z góry,
Jak ujęte wiatrem puchy,
Lub nadziemskich krain duchy.
A krew burzy, rozpłomienia,
Urodziwe dziewic lice;
Słychać ciche piersi tchnienia,
Usta pragną, skrzą zrenice,
Płomieniste drżą ramiona.
To dla niego pierś wzniesiona,
Eunuch bije mu kolanem.
Chcesz być Baszą? lub Sułtanem?
Czerpać wiecznie z uciech fali,
To ja spocznę?«

— Nie, leć dalej.

»Patrz! patrz! śmiały, złotopióry,
Na rumaku grzmi młodzieniec,
I rozgania hufy dzielne;
Bo ostoiż kroku który,
Gdy piorunne męża ramie,
Najezdnicze siły łamie?
Jego sławy czeka wieniec,
Imie wielkie, nieśmiertelne,
I nagroda od piękności,
Z przysiąg wiary i miłości.

Chcesz być wielkim? wsławić imie?
Chcesz polubić rzeź i boje?
Ja zhartuje serce twoje,
Twoje ramie uolbrzymię,
I na wieńcach staréj sławy
Nieśmiertelnych twoich czynów,
Syty chwały i wawrzynów,
Spoczniesz dumny, wielki, prawy,
I w nagrodę twego męztwa,
Wieszcz zanuci pieśń zwycięztwa;
Wiekopomną cześć ustali.
Czy tu spocząć?«

— Nie, leć daléj.

Na Mazowsza tęskne błonia
Młode słońce zaświeciło.
Błogie, ciche to ustronia!
Miło kwiatom, duszy miło,
Miła stara ojców chata,
I dziewczyna niebogata.
Chcesz zobaczyć słońce w maju?
Na jéj czoła patrz pogodę;
Chcesz roskoszy doznać raju?
Chwytaj słowa, myśli młode;
I splątany w tém uroku,
Zapomniawszy reszty świata,
Przemarzyłbyś całe lata
Przy niéj, dla niéj, — bo w jéj oku,

Łza gotowa do litości;
Serce uczuć i miłości,
Poda dłonie, los ustali.
Czy tu spocząć?«
—Nie, leć daléj.

Daléj! daléj!... w inną ziemię,
I do innych ludzi świata,
Gdzie przekwitłych cierpień brzemię,
Jednostajne snuje lata.
Leć za kwiatem moich marzeń,
Co go światu oddać chciałem
Gdy dziecięcych pełen wrażeń,
Malowany świat widziałem;
Lub za miłych osób cieniem,
Za przeszłością! za wspomnieniem!
Bo mnie tęskno, — duszy nudno;
A u ludzi tęskność tracić,
Szukać śmiechu, śmiechem płacić,
Zbolałemu sercu trudno.

Seweryn Fillebor.

DO * *

NA WIĄZANIE.

Bratnie tobie uściśnienie;
Pozdrowienie nie zmyślone,
I młodzieńcze, nieuczone,
Od młodego wieszcza pienie.

* * *

Po nad czarnemi
Wysoko chmury,
Orzeł lotnemi,
Żegluje pióry.

Daléj młodzieńcze! za orłem w ślady,
Między wiecznych gwiazd gromady,
Do góry! wzbij się do góry!

Tam, w niedojrzaném okiem tłumów niebie,
Uśmiechnie ci się ideał piękności,
Tam, w niewygasłéj promieniach światłości,
Mieszkanie dla ciebie.

* * *

Wielki twój zawód na téj ziemskiéj kuli:
Nad korony świetniejszy laur czeka twéj skroni;
Świetniejszy nad berła króli,
Pędzel złożony w twéj dłoni.

Zachcesz — i pola kwiatami się wieńczą,
Z nieznanego marzeń świata,
Posłusznych duchów chór zlata;
Niebo jaśnieje promienistą tęczą.

Złoconemi dumne czoły,
Olbrzymie baszty się wznoszą;
Z płonącą w oku rozkoszą,
Buja dziewic rój wesoły.

Z czarnéj paszczęki, wulkan rozdarty,
Ogniste miece potoki,
Ocean z łoża wyparty,
Na strome drze się opoki....

* * *

Śmiało młodzieńcze! Godny wielkiego zawodu,
Niebieskiego godny rodu,
Ogniem niebios stale pałaj:—
Żyj, czuj, kochaj, stwarzaj, działaj.

Do ciebie zdobne wieńcami wawrzynów,
Patrzą z mrocznéj przeszłości, jasne przodków czoła,
O pomniki głos wznosi tysiąc wielkich czynów.
Ich głosem chwała ciebie nieśmiertelna woła,
By skroń twoją otoczyć geniuszu ozdobą.
Do niéj! o synu natchnienia!
Dąż do niéj — i niechaj z tobą,
Przyjazne biegą życzenia.

Niech ci na drodze szczęście rozściele,
Wonnego kwiecia kobierce.
Niech bijące twoje serce,
Rajskie zamieszka wesele.
I niech w niém na zawsze gości,
Iskra cnoty nieskażona;
I pamiątka niezgaszona,
Towarzyszów twéj młodości.—

Roman Zmorski.

Do dziewczyny.

»Rzuć tę ustroń niewesołą,
Cóż w niéj widzisz? chatkę biedną.
Ciemne lasy na około,
Trwożyć muszą samą jedną,
Cóż cię wiąże do téj chatki?
Czy pamiątka młodych lat:
Czy wspomnienia ojca, matki,
Czy rozkwitły z wiosną kwiat?

Patrz! ten strumyk na dolinie,
Co się wydarł z ziemi łona,
Ujrzał światło i tam płynie;
Gdzie go milsza wabi strona:
Gdzie i wietrzyk lżéj powiewa,
Gdzie weseléj szumi gaj,
Gdzie roskoszniéj słowik śpiewa,
Gdzie piękniejszy ziemi kraj.

Ty o piękna! wśród ukrycia
Masz że więdnąć jak kwiat z wiosną?
I najmilszą porę życia,
Tak młodzieńczą, tak miłosną,
Chcesz że okryć tłem cierpienia?
Zniszczyć urok lubych tchnień;
I bez wspomnień, bez westchnienia,
W noc zamienić życia dzień?

Porzuć chatkę, porzuć kwiaty.
A jak w raju, albo w niebie,
Pyszny zamek, strojne szaty,
Miłość, szczęście czeka ciebie.
Roskosz zwabi w swą zaciszę
Gdzie cię sen jak Anioł stróż,
Wśród balsamów ukołysze,
Na wezgłowiu wonnych róż.

Płaczesz — łzy ja umiem cenić;
Łezka szczęścia nie rozproszy.
Lecz mi pozwól, pozwól zmienić,
Łzy boleści, w łzy roskoszy.
Jak dwie lutnie gdy zabrzmieją,
Strojnym dźwiękiem zgodnych stron,
Dusze nasze tak się zleją,
W jeden wzniosły boski ton.

Gustaw Zieliński.

UŻALENIE.

Gdym światu oddał serce, to w dziecięcéj wierze
Przyniosłem je tak czyste, nieskalane niczem,
Skaczące w drżącéj piersi, widome obliczem,
Szukające współczucia: a wy tak nieszczerze,
Tak nieludzko, łudzącą rozdarli zasłonę,
Że dziś nie mam już serca — bo jeżeli kiedy,
Zatrzęsie nim uczucie; to gorzkie, spalone,
Pełne żalu, boleści; tak właśnie jak wtedy,
Kiedy o nagie piersi uderzy nie zdrowy,
Ponury wicher grudniowy.

Kiedym myśli oddawał, moich marzeń kwiaty,
Gdym z połowy méj duszy raj ziemski osnował,
I połowę tych uczuć dla świata darował,
Wy uczuć nie pojęli; kwiat marzeń bogaty,

Wyśmieli, wyszydzili; i z zimną rozwagą,
Ukazali mi prawdę ponurą i nagą.
I dziś nie mam już myśli — bo kiedy jak we śnie,
Wymuszoną odpowiedź rzucę pośród ludzi,
To tak dzika, prostacza, tak brzmiąca boleśnie,
Że albo wstrętem przejmie, albo śmiech obudzi.

Jednakże w głębi duszy, jak bezkrewna postać,
Żyje myśl — żyje serce — co z nie jedną chwilą
Tak się tłumnie gromadzą, rozprzęgają, silą,
Jak gdyby z drżących piersi chciały się wydostać;
I zdumionemu światu jak mary zwodnicze,
Gorzkie wyświecić oblicze.

O! gdyby za tę boleść, jeden dobry człowiek,
Chciał memi uczuciami w moją myśl spozierać;
By choć raz serce drgnęło, łza spłynęła z powiek,
Nie żal byłoby marzyć, cierpieć i umierać.

Seweryn Filleborn



DZIEWICA-WIDMO.

(z podania).

—

I.

Po nad drogą, na pagórku dwór bieleje murowany, — po za dworem nieopodal, za łąką zieloną, w modrzewiów stuletnich cieniu, gęstego ciernia opasana wałem, samotna stérczy kaplica.

Czoło jéj wysmukłe przybrane w rzeźby misterne; przez okna w pół wypadłe świécą jeszcze złocone ołtarze; — ale dla czegóż przez malowane jéj szyby wicher tak swobodnie wyje? czemu w pyle i prochu poświęcone butwieją obrazy? czemu chwast dziki otoczył ją szeroko i dębowe zapłótł wrota?

Tajemnicza, odwieczna powieść otoczyła trwogi nieprzebytą zaporą zczerniałe ściany świątyni, i jéj smętarz niegrodzony.

Mówią, że skoro mrok czarny zapadnie, z przeciągłem jak jęk konania skrzypnieniem, drzwi na rdzewiących rozwierają się zawiasach. Milcząca, blada, w białéj jako śnieg szacie z podwoi wychodzi niewiasta. Z czarnym, rozwjanym jéj włosem wicher dziko się pieści, długa szata wlecze się czepiając po wybiegłych ostu łodygach — a ona zwolna, do koła niepewnemi błądzi kroki. Błądzi długo; czasem na zapadłéj przysiędzie mogile, przyłoży ucho do ziemi jakby chciała podchwycić tajemną grobów rozmowę — aż wreście, pierwsze gdy zapieją kury, wraca bardziéj jeszcze drżąca we święcone starego przybytku progi. I nieraz daleko po polu słychać śmiéch dziki, szyderczy co za powrotem ją wita.

I nie tylko wśród nocy, kiedy się odprawiają te straszliwe cuda, równie czy to dzień powstaje, czy gore słońce południa, z przestrachem każdy miejsce złowrogie omija. Bo biada, biada! zuchwałemu coby się śmiertelną nogą śmiał dotknąć widma niewidzialnych śladów...

Na jego śladach śmierć mieszka.

2.

Czy wy wierzycie, o piękne nasze Panie! wy, co z licem kwitnącem, z płonącem okiem, z sercem tak twardem, pustem, chłodnem, martwe przebie-

gacie drogę życia, — o grobowce malowane! czy wy wierzycie w te boskie wieki zapału, kiedy rozognionemi sercami niebieska miłość władała? kiedy czarodziejską jéj siłą natchnione, w bohaterki się słabe mieniły dziewice? kiedy długie cierpienia płaciła im jedna zkochanym pieszczota; i o miłości tylko tak śniły, i dla miłości wszystko święciły, jak wy święcicie dla złota?

Wy niewierzycie — a przecież tak było!

I nieraz młoda pańska córa rzucała zamek bogaty, dla młodzieńca któremu mieniem całem pochylona była chata, zagon roli, miecz przejrzysty, i bijące silnie serce. I nie raz nieszczęsna w jaśniejącéj życia wiośnie, niż rozstać się z ulubionym, z światem się rozstać wolała.

Wy niewierzycie. Wam te wieki, te uczucia pijanem się widzą marzeniem. — A przecież, wierzcie tak było!

3.

Ranek — w murowanym dworze rżą konie, dudnią kolasy, służalców krzątają się tłumy; coraz rośnie zgiełk, gwar, wrzawa, — jutro gody pańskiéj córy.

On sam dumny, milczący, spogląda z okien wspaniałéj komnaty na dworzec swojego domu, — i uśmiech zdawna nie znany, rozjaśnił mu latami pomarszczone czoło.

Ciesz się! ciesz przemożny Panie! W cóżby się uśmiech twój zmienił, gdybyś mógł wiedzieć, w téj chwili gdzie twoja córka jedyna?

4.

Ach patrzcie! ona tam — pod modrzewiów sklepieniem, obok zaklętéj kaplicy, wsparła twarz łzami zalaną na obcego pierś młodzieńca. Nie raz już ją tam wiodła porankiem śmiała dłoń miłości w ulubionego objęcia.

Dziś go żegna raz ostatni — i silniejsze jéj uściski, gorętsze jéj pocałunki, łzy bardziéj gorzkie niż kiedy. On ją przytula do łona, tłumi łkania usty swemi, cichemi cieszy wyrazy...

5.

Co on do niéj mówił? co ona mówiła?... mnie nie pytajcie — ja nie wiem.

Ale kiedy na ziemi, pomrok zapadł szary, koń młodzieńca wiatronogi niósł go głuchym, czarnym borem, pod opuszczoną świątnicę.

I oto już widać posępne jéj ściany, słychać smutny głos puszczyka, co na jéj wieży, pod zdawna oniemiałym dzwonem bezpieczne gniazdo założył — a wiatr chłodny jesienny świszcze koło uszu jeźdzca tak boleśnie, tak żałobnie jakby go chciał

strzedz od zgonu. I chociaż odważne serce, zachwiało się na chwilę. Stanął, czoło w krzyż uzbroił, wytężył oko ciekawie — i patrzy...

Nagle wśród smutnych modrzewi, mignie biała jak śnieg szata — zwolna, niepewnemi kroki, snuje się postać wyniosła....

—» To ona! — ona — spiesz mój białonogi! «
Rumak parsknął, zastrzygł uchem — i ostrogą ostrą wsparty, sunął strzałą pod kaplicę.

Księżyc skrył się po za chmury, i w grubych nocy ciemnościach, biała tylko świeciła sukienka.

—» Tyś to? «

—» Ja « — odrzekł głos cichy.

I młodzieniec już dziewicę drżącemi ściskał ramiony... A wicher zawył smutno, żałośnie; zagrzmiał śmiech dziki, szyderczy.

I razem z piersi młodzieńca wydarł się krzyk przeraźliwy, krzyk przestrachu i rozpaczy...

Jako młody zapaleniec co chciwie w pierwszéj kochanki rzucając się objęcia, miasto anioła ze zgrozą szkielet martwy przy sercu poczuje, on na licu swém piekłem uczuł dech zgniły grobowy, na szyi dłonie skostniałe. I zdrętwiałemi rękoma daremnie wyrwać się silił z lodowatego objęcia.

A koń we wściekłym, szalonym pędzie pognał

przez pola piaszczyste, i zniknął w gęstéj mgle nocy...

6.

Młodzieńca nikt już z ludzi więcéj nie widział na ziemi.

Piękna młoda pańska córa o świcie martwa na łące leżała.

Roman Zmorski.



Gierada, Hergewet, Wiano, Posag, Dziedzictwo

U DAWNYCH MIESZCZAN W POLSCE.

—

W ustanowieniu dziedzictwa po dawnych miastach naszych, przed dwiestu i późniéj laty, rozróżniano gieradę, hergewet, wiano, posag, i właściwe dziedzictwo.

Gieradę (parapherna) stanowiły po śmierci matki te rzeczy, które ona idąc za mąż jako wyprawę otrzymała, zwano to także *szczebrzuch.*

Hergewet (arma bellica) były rzeczy do wyprawy wojennéj służące, a po śmierci ojca dla synów pozostałe, »bo gierady ani hergewetu za żywota nie zowią.« (1)

---

(1) Tytuły prawa Magd. etc. Kraków 1629.

Wiano (dotalicium) jest zapis przedślubny przez męża dla żony zeznany.

Posag (dos) stanowi wszelka majętność którą panna idąc za mąż z sobą od rodziców przynosi, w przedmiotach lub zapisie, bądź jako dar od nich, bądź jako własność osobistą.

Do *Dziedzictwa* należą wszystkie inne rzeczy po śmierci spadkodawców dla przewidzianych sukcessorów do prawnego podziału pozostałe.

GIERADA.

Liczono właściwie do niej: wszystkie szaty niewieście, sukna y płótno, ku ubiorowi niewieściemu przykrojone, które białogłowy zwykły nosić y w swéj mocy miewać. Wszystkie złoto y srebro które tkane jest ku ochędóstwu niewieściemu, wszystkie pierścienie y centkowe zapinania; paski okowane, z jedwabiu tkane: Manelle abo ochędożności ręczne y zawieszenia, przykrycie łożne, prześcieradła, botuchy, bodlochy, firhanki, łoża, wezgłowia, poduszki, obrusy, panwie; browarne naczynie ku naymu należące, kocieł do prania, skrzynie z wiekami, len, przędza prana y nieprana. Księgi na których niewiasty zwykły się modlić; gęsi, kaczki, owce które na paszę wyganiają. A jeśliby mąż kramarz abo kupiec był, wtedy do gierady policzy się tylko to, coby ku ochę-

dożeniu jéj komory abo gmachu należało (1). Liczą się jeszcze do gierady: konie któremi robiono, krowy, wieprze, gęsi, kury, rzeczy łazienne, wieńce, zwierciadła (2).

Spadek gierady szedł w podział na córki niewyposażone jeszcze i w domu pozostałe, a w braku dopiero córek na bliższą krewnę; gdy żona umrze mężowi tedy przyrodna bliższa po żonie gieradę bierze, ale do żadnych rzeczy *śniednych* nic nie ma. I wszakož w ten sposób, iż ma mężowi zostawić własne łoże tak jako było za żywota żony jego. Nadto, ławę z wezgłowiem, stół z obrusem, ręcznik, stołek poduszką nakryty zostawi (3). Jednakże: jeśli nie zostanie dziewki, a jest syn żak któryby już *akolitem* (klerykiem) był, ten bliższy będzie gieradę wziąć niźli siostra matczyna, abo inna bliższa. Ale gdyby się zasię w inny stan odmienił, tedy powinien gieradę wrócić (4). Syn tedy akolit zarówno z siostrą brał gieradę.

Dlaczego żak mając święcenie, gieradę z siostrą równo bierze? (pyta Bartłomiéj Groicki tłómacz prawa), napisano iż dla pospolitych modlitw które za wszystkie winien czynić; ażaliby się i bez

---

(1) Przydatki do porządku Pr. Mag.

(2) Artykuły Pr. Mag. Kraków 1629.

(3) Jus Municip. Art. 23.

( ) Artykuły etc.

gierady nie mógł modlić? A trafia się też ta, iż się drugi nie z nabożeństwa święci jedno dla gierady aby ją równo z siostrą brał (5). Użala się nasz Groicki iż inni synowie nie dziedziczyli w gieradzie — »rzeczesz podobno: nic synowi po ubiorze niewieścim, dziewce to należy — pytam się naprzód, aza z niewieściej szaty męzka nie będzie? widałem ja dosyć takich szat niewieścich fałdzistych, iż z drugiej byłaby dosyć długa synowi rewerenda: także za pierścionki y inny gieradny statek, azaby ksiąg nie sprawił?« — i daléj: »A żona przedsie w swoich ubiorach kosztownych rey wiedzie, a zwłaszcza gdy za naszych czasów niektóre białogłowy zaniechawszy skromnych ubiorów polskich oyczyzny swojej, na którym matki ich żyjąc w pobożności przestawały, jęły się cudzoziemskich szat y innych dziwnych strojów—nie dosyć mieć szatę po polsku, ale po niemiecku, po węgiersku, po hiszpańsku, także inne stroje główne, sziyne, ręczne: jako są *cepliki* (warkoczyki *), *oświki*, tkanki, bramki, czepki morawskie, staroświeckie; chomle, kędziorki, *celpy z knaflami*, *toczenice* (rodzaj czepka), lubki, wieńce rozmaite, *forboty* perłowe (rodzaj koronek) złote zauszki, przednice perłowe, kołnierze z przednicami, kołnierze opadłe,

(5) Przydatki etc.

(*) Łukasz Gołębiowski. *Ubiory w Polsce.*

oboyczyki, kołnierze do oboyczyków, *kruszki* (krezy), *trepelle*, zapory, krzyżyki, *halżbanty* (halsztuki) rozmaitym strojem; koszulki rozliczne, *gurgole*, *czechliki*, *szorce*, fartuchy, opasania dziwne, obrączki rozmaite, szersze, węższe, gołe, drugie z łańcuszkami, łańcuszki ku opasaniu, wacki, mieszki (woreczki) perłowe aż do ziemie, *manele*, łańcuszki, pierścionki, korale, pacierze, *facelety* (chustki), bryżyki rozmaite; książki ze srębrem; letniki, szubki rozmaitym strojem, płaszczę, kozki. A ktoby te stroje mógł wyliczyć? Zkąd też widziemy iże mężowie tymi stroymi sobie y potomstwu swojemu wiele złego czynią: siebie ubożą, gdy na te ubiory żonom abo oycowie dziewkom swoim wielki nakład czynią, których potym na *Wendecie* y u żydów w zastawie widamy dosyć (7). Daléj znowu: »Paweł ś. uczy, aby się niewiasty przyochędażały ubiorem poczciwym ze wstydem y skromnością, nie z plecionemi włosy, abo okładaniem złota abo perłami, abo ubiorem kosztownym, abo obłóczeniem szat: ale dobrymi uczynkami w cichości y w spokoynym duchu.« (8)

Za całość gierady, mąż albo też opiekun dzieci pozostałych zawsze był odpowiedzialnym, abowiem żona oprócz mężowey woley, ani żadna sierota kim

(7) *Groicki* w Saksonie.
(8) Tamże.

się *opiekaią*, nie mogą nic dać bez woley swego opiekalnika. (9)

Przy spadku gierady liczyły się do niéj rzeczy jedynie przez zmarłą żonę to jest matkę spadkobierczyni, pod tym tytułem przy zamęźciu wniesione. W przypadku gdyby mąż gieradę na potrzeby w chorobie zmarłéj żony zastawił, i przysięgą udowodnił to; wówczas sukcessorka zastaw takowy swoim kosztem wykupić dla siebie była obowiązaną.

— »Gierady ani dziedzictwa żona mężowi nie może wzdać bez przyzwolenia dziedziców a potomków, także téż mąż żenie.« (10).

Krakowianie posiadali osobny *Wielkierz* który stanowił: »iż gdzie dzieci w małżeństwie są choć dziewki choć synowie, nie bierze gierady siostra żenina, ani żadna jéj przyiaciołka.« (11)

HERGEWET.

Spadek hergewetu szedł na synów tym porządkiem, iż najstarszy brał miecz resztą zaś zarówno dzielili się. Kiedy nie było synów dopiero dziedziczyły córki — hergewetu na śmiertelnéj pościeli

(9) Speculum Sax: II. 38.
(10) Artykuły etc.
(11) Gro icki.

już nikomu ojciec darować nie był mocen. Należały do hergewetu: »miecz, koń dobry osiodłany, tarcza, zbroja co lepsza, na jednego człowieka którą za żywota swojego miał — szaty powszednie, pościel woienna: to iest łoże z poduszką, dwie prześcieradle; miednica, obrus, ręcznik, kocieł jeden abo co temu podobnego.« (12) Między rzemieślniki y między mieszczany uboższemi, gdzie koni ani zbroie nie masz, wszytek u drugiego hergewet: włoczenka, kosturek, siekierka, kiiec, maczuga, miecz rzadko, konia zbroie nie pytaj.« *(Groicki).*

P O S A G.

—» Posag jest dar mężowi za żoną dany ku znoszeniu y pociesze przypadłych ciężkości w małżeństwie.« *(Groicki).*

Mógł mąż utracić posag żony, a dla tego wiano oddać jéj był obowiązany: »jeśliby co złego przeciw Królestwu broił lub innych broiących nie obiawił, jeśliby żenie o zdrowie stał, jeśliby ją na cudzołostwo wydawał, nie szanując poczciwości a czystości małżeńskiey — ieśliby ją o cudzołostwo potwarzał a tego nie dowiódł, jeśliby nałożnicę u siebie w domu chował a wygnać jéj nie chciał« (13).

---

(12) Sp. Sax: l. 1. art. 6.
(13) Tytuły etc.

W I A N O.

»*Wiano* jest dar który mąż względem posagu żonie przy ślubie mianuie. (*Groicki*). Mogła się żona upominać o swoje wiano jeszcze za życia męża, gdyby ten tracąc majątek możności utrzymania jéj i dzieci, zagrażał nadal. Gdyby po śmierci męża, krewni jego nie chcieli oddać żonie wiana urzędownie niezabezpieczonego, wówczas obowiązaną była wykonać z otrzymania na nie przyrzeczenia przysięgę.

Żona mogła utracać prawo do wiana nawet po śmierci męża z przyczyn następujących: gdy majątek męża pustoszy, a na świeżym uczynku złapaną i siedmiu świadkami przekonana będzie, gdy tenże majątek z posessyi swojéj wypuszcza — «jeśliby jaką przewrotność abo zdradę przeciw Rzeczypospolitey ukazała, przeciw państwu, zwierzchności swoiey co radziła abo porozumienie miała, ieśliby toż za żywota mężowego świątość małżeństwa dobrowolnie złamała, na cudzołostwie poymana była — nadto, jeśliby mężowi o gardło stała, lub w podobnym przypadku nie przestrzegła go. Jeśliby krom przyzwolenia mężowego z innymi biesiady stroiła, z obcymi się w łaźni myiała, abo w wannie kąpała, społeczności z nieuczciwymi miewała, na mieyscach nieuczciwych przy grach przebywała — ieśliby jéj doma przez noc nie było

aleby się kiedy niepoczciwie zabawiła. Za tymi przyczynami niewiasta wiano traci« (14).

DZIEDZICTWO.

Do dziedzictwa należą: — »wszelkie imienie abo własność zmarłego nie oddalona, wszelkie srebro y złoto które nie jest ku ochędóstwu niewieściemu robione, jako są: kubki, kieliszki, lichtarze, miski, y inne naczynie ku piciu y potrawom y ochędostwu stołowemu sprawione, których używano choć złote, choć srebrne, miedziane, mosiądzowe, cynowe, ołowiane, żelazne, któregokolwiek metallu; z których jedno albo dwoje niewieście która gieradę bierze dziedzic z łaski swej dawa.« — Należą nadto: »pieniądze, sukna, płótna całe nie poczęte, rzeczy kupieckie któremi zmarły kupczył; konie, woły, wieprze, świnie, y inne bydła które na paszę wyganiaią albo niemi handluią. Wieprze karmne które są pobite y porąbane, nie należą ku dziedzictwu ale ku żywności y ku pospolitemu wychowaniu domowemu — całe nierąbane ku dziedzictwu: takżepołtowe mięso, *szoldry*, udźce, sadła, zboża, słody, skrzynie, fasy do chowania zboża y mąki, wszystko co gwoździem przybito, w glinę abo w ziemię wprawiono; stoły, stołki,

(14) Jus Mun Art. 22. — Spec. Sax. l. 1. art. 21.

ostawienie stołowe, chusty łaziebne, y co ku ścieraniu y umywaniu należy; — skrzynie proste, panwie, kadzi nieruchome, wszystkie kotły oprócz jednego pralnego który ku gieradzie należy — kuffy próżne, kury, gęsi, kaczki y inne ptastwo, psy, kotki, moździerze; wszelkie zbroje, tarcze, y inne oręże wojenne oprócz tych które ku hergewetu należą. Wino, piwo, miody y inne wszystkie picie; jarzyny, mięsa y inne strawne które ku domowey roczney żywności nie są oddzielone, — słowem wszystkie rzeczy ruchome oprócz gierady, hergewetu y żywności domowey. (Groicki w Saksonie), także kapitały i należności.« (Sp: sax. l. 1. a. b.)

Służyło spadkobiercy podobnie jak i w kodeksie francuzkim, dobrodziejstwo inwentarza na przyjętą sukcessję. (Sp. Sax. l. 1. a. b.) Nie mógł być pociąganym o długi zmarłego aż dopiero po dniu trzydziestym.

Spadkobierca niedochodził jako wierzyciel, lecz dłużnicy sami z długiem swoim wystąpić, i bronić się byli winni, wierzyciele zaś spadkodawcy, poszukując na sukcessorach długu swego, powinni go *samsiodm* dowodzić— » a jeśliby obwinieni długu przeli, tedy gdy przysięgą z tyle świadków ile ich naprzeciw im powód miał, będą od onéj sprawy wolni.« Sprawę taką nazywano *po umarłey ręce*, mortuam manum (15).

(15) **Przydatki do porządku etc.**

Spadkobierca nie obowiązany był dotrzymywać kontraktu, skoro takowy lubo już urzędownie zawarty, przed śmiercią jednak spadkodawcy w wykonanie wprowadzonym jeszcze nie był.

» —Dziedzicy kiedy między sobą dobra dziedziczne dzielić mają, starszemu należy dzielić, a młodszemu naprzód obierać. « (Sp. Sax. Ex. a. 29). » Dziedziców kiedy nie masz, mąż z żoną po sobie spadek biorą mimo skarb królewski. « (Sp. Sax. l. 3. a. 8. in glosa).

» Dziedzicy nie biorą dziedzictwa po śmierci tych którzy przeciw królowi albo Rzeczypospolitey co wystąpili — którzy czarnoksiężnicy byli, czarownicy wywołani — wywołanie rok y sześć niedziel cierpiący, więźniowie którzy sami sobie dla bojaźni męki śmierć zadali, którzy miastu liczby uczynić nie mogli. *Tych* wszystkich dobra nie idą na dziedzice, ale do skarbu królewskiego; wszakże, ieśliby się przydało iżby się kto zabił a przyszłoby mu to z choroby, z gniewu, *melankoliey*, w szaleństwie, z przygody nie z umysłu; dobra ich pozostałe na dziedzice spadają. Dziedzictwo wedle prawa niemieckiego kończy się w siódmym rodzaju *(pokoleniu)*.« (16)

Przyczyny do wydziedziczenia dzieci były następujące:

---

(16) Tytuły prawa etc.

1. Jeśliby się syn targnął na rodzice ręką y bił je.—2. Jeśliby im krzywdę wielką czynił.—3. Jeśliby im na gardło *foldrował*, w sprawie którąby nie była przeciw królowi albo Rzeczypospolitey.—4. Jeśliby towarzyszył z złoczyńcami, abo się około czarnoksięstwa abo czarów bawił. — 5. Jeśliby chciał oyca zdradliwie otruć.— 6. Jeśliby z macochą abo miłośnicą oycowską złączenie miał. — 7. Jeśliby syn oyca oskarzał, tak, iżby go swoim oskarzeniem w wielkie szkody przywiódł, albo jeśliby rodzicy z jego utracania wielką szkodę podjęli. — 8. Jeśliby oyca z więzienia rękoiemstwem wedle możności swoiey niewyzwolił, choćby się rękoiemstwo na osobę wściągało, choć na dług: a to tylko na syny nie na dziewki należy.—9. Jeśliby oycu zbraniał aby iałmużny nie dawał, abo testamentu nie czynił.—10. Jeśliby krom woley rodziców z graczmi, z błazny, z ludźmi lekkimi towarzyszył, a w tym trwał, wyjąwszy by sami rodzice tacy byli. — 11. Jeśliby oycu bronił córy abo wnęczki za mąż wydać, wedle możney maiętności swoiey, y owszem, y cora ieśliby ią ociec za mąż chciał dać, a ona się tego zbraniała, a na cielesność się udała, ma być wydziedziczona. A ieśliby iey rodzicy do 25 lat nie wydali, a ztąd się snadź na swą wolą udała, abo też ieśliby bez przyzwolenia rodziców za dobrego człowieka szła: to iey nie ma być ku niewdzięczności poczytano, abowiem się ona tego za winą rodziców dopuściła. — 12. Jeśliby syn he-

retykiem to iest odszczepieńcem od kościoła chrześciańskiego był. — 13. Jeśliby o zabicie swych rodziców nie czynił. — 14. Jeśliby imienie rodziców za żywota ich posiadł. Abowiem nie godna iest aby ten temu dobra zostawić miał, od kogo iest przedtym obrażon.« (17)

»Dziewka któraby była wyposażona przez oyca y przez matkę, tedy ieśliby się nie wyrzekła imienia, ma mieć równy dział z bracią abo z siostrami, (*oprócz gierady*), ale to co pierwey wzięła, chcieli mieć dział tedy powinna do niego złożyć to. (18) Mężatka któraby miała od męża dożywotnią sprawę abo opatrzenie, a niepoczciwie się chowa, utracić ma maiętność (19). Żona, ieśli ma od męża swego zapisane opatrzenie do żywota *provisionem vitae*, tedy żywność domowa coby ią do potrzeby domowéj na ieden rok nagotowano, przychodzi iey wszystkiego połowica, a gdzieby takiego opatrzenia nie miała, tedy używać tego niema iedno póty póki w *imieniu* siedzi.« (20).

Wdowa, czując się zaraz po śmierci męża brzemienną, powinna była okazać stan ten w ciągu 30 dni od pogrzebu. W razie nieprzyznania takowego dziecka przez innych sukcessorów, dowodzi-

---

(17) Sp. Sax. l. 3. a. 84 in glosa. — Tytuły prawa etc.
(18) Artykuły prawa etc.
(19) Tamże.
(20) Tamże.

ła urodzenia jego świadectwem dwóch niewiast i *czterma mężmi*, albo kapłanem który chrzcił to dziécie. (S. S. l. 1. a. 33). Toż prawo dozwala kobiecie nosić płód miesięcy dziesięć i dni dwa, a nie dłużéj.

Przepisy praw, obejmując potrzeby i stosunki obecnego sobie towarzystwa, tém samém historyę jego współczesną bardzo dokładnie przechowują; tém więcéj jeśli stanowione były przez ogół dobro publiczne na celu mający. Jako więc ułamek historyczny umieszczamy nasze wypisy, z rozrzuconych części zebrane, z zachowaniem nawet w wielu miejscach stylu miłego, nieskażonego jeszcze obcym wpływem. *Bartłomiéj Groicki* pierwszym był tłómaczem prawa, które Kazimierz W. dla miast naszych przyswoił, a które widziemy tu nie mało już zmienioném, wedle zwyczajów i życia mieszkańców nowego kraju.

S. L. Sierpiński.

PERYODY
DZIEJÓW FILOZOFII.

—

Są w dziejach filozofii czasy które możnaby nazwać przeddziejowemi, bo w nich jeszcze filozofia nie objawia się w świetle właściwém sobie: są to mniemania mędrców Azyatyckich, są to pierwsze usiłowania rozumu pragnącego oswobodzić się z więzów bałwochwalstwa. Przedstawiają nam one wiele ważnych i naukodajnych postrzeżeń mianowicie w moralności; że jednak nie składają całości związanej w swoich częściach, że spoczywają raczéj na instynkcie wiary, niż na wiedzy rozpromieniającéj i uczucie i wiarę, dla tego wychodzą z zakresów filozofii. Pomijamy więc wschód cały, Izraelitów, Assyryjczyków, Babilończyków, Medów, Persów, Fenicyan i t. d. aby spojrzeć na uprawę filozofii u Greków, gdzie ta zajaśniała w systemnéj

barwie: stopiła w jednę całość pomysły rozproszone po całéj ziemi i rozwijała się pod wpływem swobodnéj działalności rozumu, nie powodowanéj ani korzyścią, ani potrzebą, słowem żadną koniecznością zewnętrzną.

W Grecyi więc pod wpływem najpiękniejszego nieba za czasów Solona na lat 600 przed Chrystusem, dwa spółczesne geniusze Tales i Pitagoras, dały początek dwom szkołom a filozofii kierunek, z którego ta niezbaczała przez dwa wieki, to jest do czasów Anaksagory. Ruch powszechny panuje w myśleniu, stąd płodne systemy, okwitłe hypotezy. Rozum dziewiczy niezapłodniony doświadczeniem obłąkiwa się szukając zasad wiedzy w naturze rzeczy, ze sporności tych szkół wyradza się sceptycyzm i wyskubujące stronnictwo sofistów — i to jest pierwszy perjód dziejów filozofii.

Drugi perjod zaczyna się od Sokratesa i trwa lat 400. Są to czasy wojny Peloponezkiéj, czasy Peryklesa i Alcybiadesa, a dla filozofii najpiękniejsze żniwo. Umysły miarkują się, wiadomości porządkują, filozofia urabia się w naukę i rozpromienia inne wiadomości. Zasada wiedzy poszukiwana jest w naturze nauki, a zatém umysł na siebie się zwraca. Jaśnieją w téj epoce dwaj wielcy mężowie, uczniowie Sokratesa, Plato i Arystoteles.

W trzecim perjodzie który się ciągnie przez pierwsze sześć wieków E'y Chrześcijańskiéj podania starowieczne azyatyckie stapiają się z nauką

Pitagory i Platona. Spirytualizm wprowadza Eklektyków Aleksandryjskich na rozdroża rozpasanéj fantazyi: rozum zostający w gorączkowym rozognieniu, szuka prawdy w kontemplacyi i zachwyceniach.

W czwartym perjodzie rozwija się pokraka ulepiona z mytów, teologii i filozofii, któréj historya dała nazwę filozofii scholastycznéj. Bladawy promyk światła połyskuje u Arabów pod Kalifami, za Karola W. we Francyi, za Alfreda w Anglii, zresztą w dziełach (S.) Augustyna, Tomasza z Akwinu, Rogera Bakona i niektórych Ojców Kościoła. Slepe naśladowanie, bezowocna erudycya, dyalektyka i jéj wybujałe subtelności sprowadzają umysły z drogi prawdziwego postępu i źródła wiedzy szukać każą w axiomatach, pojęciach ogólnych i pomysłach oznaczających stosunki ich rozmaite.

Trzeci i czwarty perjod uważać można za gałęzie drugiego, bo w eklektyzmie Aleksandryjskim główne stanowisko zajmuje *Platon*, w filozofii scholastycznéj *Arystoteles.*

Dopiero w 15 i 16 wieku rozum ludzki odradzać się zaczyna. Wieki te jednak nie stanowią osobnéj epoki, bo filozofia jeszcze niepewnym szła krokiem a podobna do poezyi i sztuk nadobnych jak one była odbiciem starożytności klassycznéj. Bo trudno było ludziom przełamać od razu zakorzeniony nałóg, otrząsnąć się z przesą-

dów, jakiemi nasiąkli od poranku życia, trudno było przekonać uczonych że ich nauka nie była nauką ale niewiadomością: wielu nakoniec czuło gnieżdżące się złe, lecz nie zdołali mu zaradzić. Rozwinęła się wreszcie nowa epoka odrodzonéj, niby zmartwychwstałéj filozofii — na jéj czele stoi Bakon Werulamski i Kartezyusz w początku 17go wieku. W tym perjodzie dziejów filozofii zajmują oni stanowisko niezmiernie ważne, bo filozofii nadali popęd, jaki ta w pierwszym perjodzie miała od Talesa i Pitagoresa a w następnych trzech od Arystotelesa i Platona. Bakon puścił się drogą którą szedł Tales i Arystoteles chociaż o ostatnim mówił zawsze ze wzgardą, bo znał go tylko z kommentarzy Arabskich i mędrkowań scholastycznych. Descartes poszedł za Pitagorem i Platonem poddając świat widzialny innemu, duchowemu, idealnemu. Wpływ tych dwóch genialnych mężów czuć się daje na cały wiek 17 i 18; i na dziewiętnastym odbija się jeszcze promienne ich światło, jak łuna na gwaździstych niebiosach. A wiek 19 wzniósłszy się na barki poprzedników, zbogacony tylu zdobyczami w krainie myśli, ktore mu zapadłe w przeszłość wieki przekazały w puściźnie — czy też nic więcéj nad swoich poprzedników dopatrzyć nie zdoła?

J. Majorkiewicz.

ADAM BURSIUSZ.

Adam Bursiusz (Burski), professor akademii Zamojskiéj, urodził się w mieście Brzeżanach (1), powiecie Lwowskim, z siostry ojca poety Szymona Szymonowicza. Początkowe nauki pobierał w szkołach lwowskich, następnie w akademii Krakowskiéj gdzie roku 1580 wieniec nauk wyzwolonych i filozoficznych otrzymał; i wkrótce we Lwowie, będąc tam na nauczyciela przysłany, urzędem rektorskim zaszczycony chlubnie został (2). Lwów opuściwszy, po dwuletnich za granicą podróżach, w Krakowie powtórny wieniec, katedrę filozofii a niedługo rząd bursy *Jeruzalem* otrzymuje. Ztąd przez Jana Zamojskiego w roku 1593 do niedawno stworzonéj w Zamościu akademii na professora i

nauczyciela syna jego Tomasza powołany, przyjaźń i szacunek dostojnego męża pozyskał.

Jeszcze przed dwoma blisko wieki w murach akademii krakowskiéj, wielki gienjusz poprzedziciel Bakona Grzegórz z Sanoka, odważył się pierwszy wstrząść budowę fatalnego scholastycyzmu — on czuł, on widział prawdę, ale dotąd głuchy był świat, fanatyzmu ciemności krępowały rozumy, i umilkł prorok. Adam Burski acz młody jeszcze umysł, zatopiony w rozbadywaniu ówczesnéj filozofii, potrafił zgłębić dokładnie zasady głównych onéj systemów, spojrzeć w to stanowisko niemylném okiem, i własny stworzyć środek. Dzieło jego *Dialectica Ciceronis* z przykładów tego rzymskiego filozofa, szczęśliwie z zadziwiającą biegłością ułożone, z zapałem przyjęte od współczesnych z uwielbieniem potomnych, dziś nawet po przejawie Bakona i Loka po walce tylu innych, zaszczytne zajmie miejsce.

Burski jako filozof eklektyk, mąż niezmordowanéj pracy, w językach starożytnych szczególniéj biegły, najwspanialszym zaiste był filarem i chlubą akademii Zamojskiéj. Rok jego śmierci niewiadomy, ta jednak dopiero po 1607 nastąpiła (3). Miał on żonę; dwoje bliźniąt umarło mu w dni kilka po narodzeniu (4).

Dzieła Burskiego te są:

1) Dialectica Ciceronis, quae disperse in scriptis reliquit, maxime e stoicorum sententia, cum

commentariis quibus illa partim supplentur partim illustrantur. Opus non solum ad intelligenda Ciceronis scripta sed etiam multorum veterum autorum ac in his Theologorum, Juris consultorum, medicorum ac philosophorum imprimis utile, Adamus Bursius Academiae Samosc. Professor composuit. *Samoscii* apud Martin Lenscium 1604.

in 4to, str. 470. *Janoc. I. 29. Bentk II. 20).* — Hejdenstejn mylnie je za dzieło Jana Zamojskiego poczytuje; lubo pewna że Burski wiele w nim z rad tego męża korzystał, co i sam wyznaje (5).

2) Oratio funebris in anniversario depositionis Illustrissimi Joannis Zamoscii Regni Pol. Cancellarii et Exercituum Ducis generalis etc. ab Adamo Bursio habitu anno 1605. Zamoscii excudebat Martinus Lenscius Anno eodem.

4to. sześć arkuszy, wyborną łaciną skreślone czyny i zasługi wielkiego Kanclerza.

3) Adami Bursii historia vitae et obitus Jo. Zamoscii — wymienia Hoppiusz iż razem z poezyami Szymonowicza w Lejdzie 1619 drukowano. Bentkowski ma je za jedno z poprzedzającym dziełem, i zdaje się że słusznie.

4) Notae in Officia Ciceronis, et ethica Aristotellis, przywiedzione przez Lipsiusza, zapewne tož samo co *Dialectica Ciceronis* etc.

Mowy greckie Burskiego znajdowały się w rękopiśmie w Bibliotece Załuskich. *(Janociana I.) 30).*

Nadto, poczytywano za dzieło jego, zbiór praw miejskich *speculum saxonum*. Właściwie wydane ono było w Krakowie r. 1534 przez Mikołaja Jaskiera, po wyczerpnięciu zaś owego wydania, Zygmunt III. pozwalając je przedrukować w Zamościu, zlecił tylko przegląd i poprawę Burskiemu który i tu niemało pożytecznéj pracy poświęcił (6).

S. Ł. Sierpiński.

PRZYPISY.

(1) *Starowolski* Symonidesa i Burskiego mylnie pisze z Brzczin. *Janocki* (*Janocianna* 1. 27) błąd ten powtórzył.

(2) — — — «Habuit colegam Adamum Bursium virum literatissimum qui Scholae illius *Rector* erat, ambo simul gravissima disciplina iuventutem ferocientem cohibebant.» (*Vita S. Ursini Philosophi, medici, Canonici et Professoris Zamosc* w grammatyce tegoż, edycyi zamojskiej z roku 1619.)

(3) Mylnie przytaczają datę życia Burskiego — *Sołtykowicz* (o st. Akad. Krak.) wymienia rok 1600 (str. 552), 1680 i 1693 (na str. 429); *Bentkowski* bierze w przecięciu; *Chodyniecki* poprawiając innych, sam grubo błądzi kładąc lata 1686 i 1699 za pobyt w Krakowie, a 1600 za datę przybycia do Zamościa. (ob. *Dyk. poet. pols* 1. 62.)

(4) Wówczas to Jan Zamojski chcąc strapionego ojca pocieszyć nieco, dowcipném słowem, rzekł do niego: «Panie Burski, wydaliście grammatykę, w któréj są trzy rodzaje: męzki, żeński i nijaki» (ob. Starożytności hist. pol. Kraków 1840 I. 370)

(5) Dzieło to podzielone na ksiąg siedm, dedykowane jest dziesięcioletniemu Tomaszowi Zamojskiemu, i umyślnie prawie dla niego ułożone na żądanie ojca, który mówił, iżby nierychło było wtenczas dopiero kopać studnię, kiedy pragnienie dokuczać zacznie. Simonides uczcił je piękną odą, a Lipsiusz Justus wiele bardzo cenił. *Adam Jocher* (w Obr. Bibl. 1. 166.) przywodzi iż *Debure* w ka-

talogu Bibl. Ks. de la Valliere wspomina o zatopieniu większéj części exemplarzy, a ztąd o wielkiéj jego rzadkości (6. Tytuł taki:

»Juris provincialis quod Speculum saxonum vulgo nuncupatur, libri tres — Opera vigilanti in correctiorem redacti materiam, adiunctis simul glossis, alijsque additionibus, pro interpretatione textus magis necessariis. Prius sub D. Sigismundo I editi, nunc verò denuò mandante serenissimo Sigismundo III Poloniae Rege, propter exemplarium inopiam iterum recusi. Annotata insuper in marginibus habentur loca legum, jurisque municipali — Magdeburgensis materiam textus, et glossarum, approbantia, declarantia'que, grato lectori magnum afferentia commodum. Samosci Anno Domini MDCII. Cum gratia et Privilegio Sacrae Regiae Maiestatis »

in folio stron 725 na odwrocie tytułu wizerunek Zygmunta I, drzeworyt. Dedykacyi Jaskiera datowanéj w Krakowie w Maju 1535 r. kart 5 — tegoż do czytelnika kart 2 — przywileju na druk przez Zyg. III z r. 1601 karta jedna. Druk łaciński, czysty i poprawny. Od stronicy 521 zaczyna się prawo municypalne z dedykacyą Jaskiera do Tomickiego, i osobnym tytułem:

»Juris Municipalis Magdeburgensis liber vulgo Weichtbild nuncupatur — Ex vetustissimis exemplaribus opera nuper latinitati datus, summaque cum diligentia recognitus, adiunctis simul glossis et textus, interpretationibus necessarijs. Annotata praeterea in marginibus habentur, loca legum, iurisque Saxonici Provincialis, materiam textus, et glossarum approbantia elucidantiaq: lectori magnam afferentia vtilitatem Samosci Anno Domini MDCII. Cum Gratia Priuilegio S. R. Maiestatis.»

na odwrocie tytułu wizerunek drzeworytowy Piotra Tylickiego Podkacl. Kor. na końcu 6 kart nie liczb. sumariusza.

Przy témże dziele dołączono jeszcze:

„Promptuarium Jvris provincialis saxonici, quod Speculum Saxonum vocatur, tûm et Munipalis Magdeburgensis. summa diligentia recollectum et ad communem editum ûtilitatem. Adiuncta praeterea habentur ex lib. feud. certa loca, ad communem modernorum in iure ciuili vsum, magis vtiliosa. Samosci Anno Domini MDCI. Cum gratia et Priuilegio S. R maiestatis» (*Bibliot. Pijars. w Warsz.*)

in folio stron 150 — dedykacyi Jaskiera do Senatorów M. Krakowa kart 4. Jest to porządny alfabetyczny inwentarz do dzieł poprzedzających. *Bentkowski* i inni, wymieniają tylko pierwszy tytuł – tenże mówi że na niektórych zupełnie jednozgodnych exemplarzach znajduje się rok nie 1602 lecz 1601, zkąd wnoszę, iż *Promptuarium* do tamtych edycyi należy. Na każdym tytule wybity jest znak drukarni Łęskiego: rycerz na koniu, ze skał nad potokiem, trzema górami i zamkiem pędzący, z kopją w jednéj ręce a w drugiéj z tarczą herbowną akademii Zamojskiéj.

W approbacyi czyli przywileju król: na to dzieło czytamy:

„. . . . . spectate fidei diligentiaeque hominem, nobis iuratum, Adamum *Bursium*, Artium et Philosophiae Doctorem adiunximus, qui acuratè videret, tùm ut speculum hoc, et ius municipale cum interpretationibus et repertorijs iuxta editionem Jaskri, quam diligentissimè imprimatur, errataque Typographica tollantur, tùm ut Canones Ecclesiastici, et ciuiles leges, quarum sit *metio*, titulis, numeris, principijs, locis suis, qui ante fallebant, notentur.

PISMA PERYODYCZNE W WARSZAWIE

LITERACKIEJ TREŚCI.

—

Biblioteka Warszawska. — Redaktor główny J. A. Szabrański. Wyszedł już tom cały: możemy więc sądzić o duchu i wartości pisma. Poezye w bibliotece są podobno najsłabszą stroną. Z wielu bardzo zamieszczonych tu utworów, zaledwie kilka w trzecim zeszycie, znanych od dawna osób piórem skreślonych, mają szacunek i wartość. Z resztą, a osobliwie w zeszycie 1. będące *poezye*, wcale poezyą nie są. Dziwić się nawet wypada czemu redakcya, o ile wiadomo z światłych złożona osób, umieszczała co podobnego jak wiersze Leona Potockiego, Paszkowskiego, — i bajki St. Jachowicza, jakkolwiek dobre zawsze bajki. Musimy się też ująć za honor Goethego, mocno pokrzywdzony w tłómaczeniu ***Fausta***, tak przez Paszkowskiego, jak i przez J. A. Szabrańskiego. Cały przekład obudwu niewierny, bez pojęcia autora zrobiony, a nawet zakrawa cokolwiek na parodyą. Wyjmujemy od tych zarzutów jedną tylko modlitwę Małgorzaty.

Więcej warta proza; oczewiście odłączywszy artykuł Maciejowskiego ***Zabytki pogaństwa w Polsce, Tomiłę. Józefę Zelichowską***, artykuł Eleon: Ziemęckiej ***Charakterystyka kobiety***, i kilka innych.

Wybornie jest napisany ***Andrzéj Wolan*** przez M. Balińskiego, wiele warto tłómaczenie z Jerze-

go Sand *o fantastycznym dramacie*, nie bez zalet proza Wojciecha Potockiego. *O filozofii Jońskiéj* A. Cieszkowskiego, godnie autora napisano; ale praca ta jego pozostanie u nas bez użytku, bo zbyt nieprzystępnym dla ogółu sposobem wyłożona. A. Kurca rozprawa o *Przemyśle* godna upowszechnienia w osobnéj książeczce, ale nieodpowiada peryodycznego pisma duchowi.

Krytyka *Biblioteki Warszawskiéj*, jest najgorszą ze wszystkich złych krytyk. Co tu stronności! co fałszu! — i taki to pokarm duchowy podają Publiczności. Istotnie trudno wstrzymać oburzenie czytając *np*. zdania o Kraszewskim, którego poniżyć wzięła sobie za punkt honoru *Biblioteka*, i różnemi imiony podpisanemi rzuca na niego pociski. Próżno! próżno się trudzą panowie A. Tysz...., Rt., Sieciech i t. d. można i do nich zastosować słowa poety:

Jak Araby skwarem spiekłe,
Miotają bluźnierstwa wściekłe;
Przeciw słońcu, co je pali.
Próżne wycia! marne wrzaski!
Wrą pod ich nogami piaski,
Słońce posuwa się daléj.

Ogólną *Biblioteki* cechą jest ta niewłaściwość i fałsz krytyki, w poezyi proza, w prozie brak wszelkiéj użytkowéj strony.

Przegląd Warszawski pod redakcyą J. Budziłowicza i H. Skimborowicza. Zeszyt 1. ukazał się około środka Marca.

Piśmiennictwo krajowe pod redakcyą H. Skimborowicza, wyszło N. 10.

POEZYA.

POWRÓT.

Wkrótce rączym sunie krokiem,
Koń bułany,
Osiodłany,
Co stoi za chatką;
Czego patrzysz łzawém okiem,
Na mnie stara matko?

I ty piękna porzuć jęki,
Łez i westchnień szkoda,
Bo pogasną świeże wdzięki
Twarz zniszczeje młoda.

Ot i konik rży u płota —
Powrócę bogaty,
Tobie matko worek złota,
Tobie piękne szaty.

I powrócił, i wiózł dary,
Do rodzinnéj chaty,
Worek złota matce staréj,
Dla dziewczyny szaty.

Lecz w rodzinnéj czemuż stronie
Znikła jego radość?
Czemu na pierś złożył dłonie
Skąd na twarzy bladość?

Bo z zagrody szła drużyna,
Znajoma czeladka,
«Ten krzyż w prawo?» — to dziewczyna.
«Ten na lewo?» — matka.

Wkrótce wolnym pójdzie krokiem,
Koń bułany,
Osiodłany,
Co stoi za chatką;
Czego patrzysz łzawém okiem,
Czy żegnasz się z matką?

Sewerjn Filleborn.

PORADA.

—

Gdy z pod twych rąk jak gdyby na wróżki skinienie,
Zabrzmią w tysiączne tony zaklęte genjusze,
A harmonią stworzone tajemne wzruszenie,
Roskołysze twe serce, i nastroi duszę;

Strzeż myśli! niech w krainę przeszłości nie wzlata,
Po co błądzić po grobach?—Słuchaj przyjaciela,
I w przyszłość jéj niepuszczaj, ponura jéj szata,
I zasłona tak gruba! — nie ujrzysz wesela.

Lecz myśl twoja, pieśń twoja, cała twoja dusza,
Niechaj wzlata i buja w tym boskim przestworze
Wieszczów czy obłąkańców— gdzie nic nie narusza
Szczęścia,—o jakiém człowiek ledwie marzyć może.

A jeśli mimowolnie oko łzą zapłynie
Gdy serce twe poruszy piosenka poety,
Niech ta łezka w twém oku tak prędko przeminie,
Jak miłość w sercu kobiety.

K. B.

DO MYSLI.

Złotolice, wonne zioła,
Cichym szmerem gaje brzmiące,
Tchnienia wiatru konające,
Różnobarwe tęczy koła;
Fale modre, księżyc młody,
Harmonijna gra przyrody,
Niebo całe, ziemia cała,
Sercu znikła — oniemiała.

Mary szczęścia i miłości,
Wieńce sławy, żal dziewiczy,
Wymuszona łza litości,
Uśmiech wzgardy i goryczy,
Co Bóg stworzył, podarował,
I co człowiek umiłował;
Co uroki senne kryśli,
Wszystko zmarło w biednej myśli.

Myśli moja! — wątły kwiecie,
Mdła sieroto na tym świecie,
Choćby ludzie wyszydzali,
Jak brat z siostrą, matka z synem,
Niezmazana żadnym czynem,
Po tym świecie — daléj! — daléj! —

Seweryn Filleborn.

NIEWOLNICA.

Spiewaj dziewczyno — gdy śród nocnéj ciszy,
Ucho me pieśni twoje dzwięczne słyszy,
Sercem owłada urok niepojęty:
Niby huryssa niebieskiego oka,
Strojna urodą kwieciem dyamenty
W anielskich tonach nuci cześć proroka.
Aleś ty smutna, twe serce w żałobie,
Rumieniec szczęścia zgubiły twe wdzięki,
Uśmiech na ustach nie postanie tobie,
I smętne tylko zanucasz piosenki.
Czyliż żałujesz dzikiéj Ukrainy
Gdzie w pustych stepach ostry wicher wyje?
Coć jeszcze wiąże do Giaurów krainy?.....
Wszak wszystkich twoich zimna ziemia kryje.

Ojciec i matka w jednym legli grobie.
Ale choć Allah karze nas za grzechy,
W serce człowieka wlał balsam pociechy:
Czemuż łzy w oczach luba, błyszczą tobie?
Patrz!— gwiazdy błyszczą na bezchmurném niebie,
Polotny zefir zgina bujną trawę,
Wszystko uśmiecha się w około ciebie,
Czemuż o luba! oko twoje łzawe?
Wybrana z pośród mych niewolnic grona
Ty jesteś panią mojego haremu,
Wszystkiem co zbytek stworzył, otoczona,
Wszystko powolne rozkazowi twemu.
Wyszedłszy z niska wzbiłaś się wysoko,
Nawet mém sercem umiesz władać dzikiém,
Basza Alepu twoim niewolnikiem
Jednak łza smutku ćmi piękne twe oko.
Zaśpiewaj luba! niechaj głos twój miły,
Powróci pokój zasmuconéj duszy,
Niech wygna boleść z serca, i osuszy
Łzy, które piękne twe oczy zaćmiły.

Śpiew.

Tam w dolinie, strumyk płynie
Przy nim wzgórek mały,
Pod drzew cieniem, nad strumieniem
Stoi domek biały.

W domku żyła piękna, miła,
Młoda krasawica,
Swieża hoża gdyby róża,
By jabłuszka lica

Kosa kwieciem zapleciona,
Spada na ramiona;
Rączka biała, nóżka mała,
Kibić by toczona.

Czy w zabawie po murawie
Skoczną szaleć parą,
W starców gronie przy wrzecionie,
Dumkę nucić starą;

Czy w kościele na dziew czele,
Czy w mołodzców kole,
Zawsze była hoża, miła,
Najpiękniejsza w siole.

Tam w dolinie strumyk płynie
I w las idzie ścieszka,
Sród powoi chatka stoi,
W chatce młodzian mieszka.

Lica krasne, oko jasne,
Wąs gęsty, brew czarna,
Wzrost topoli, wzrok sokoli,
W biegu hyża sarna.

Czy to w boru z dzikiém zwierzem
 Krwawe boje zwodzi,
Czy z pogany bieży w tany,
 Zawsze pierwszy z młodzi.

Kochał dziewę czarnobrewę,
 Ona go kochała;
Obu razem przed ołtarzem
 Miłość złączyć miała.

Tam w dolinie strumyk płynie,
 Przy nim wzgórek mały,
Ale gruzy tylko leżą,
 Gdzie domek stał biały.

Tam w dolinie strumyk płynie,
 I w las idzie ścieszka,
Ale w chatce spustoszonéj
 Nikt więcéj nie mieszka.

Dzicz zajadła wieś napadła,
 Zsiekła, zrabowała,
I dziewicę krasawicę,
 W niewolę zabrała.

A młodzieniec zniknął w boju —
 Pewnie już nie żyje.

Jego ciało lub zgorzało,
Lub ziemia je kryje.

Umilkła — białe skronie na piérsi opadły,
Drżące jéj palce lutnią opuściły,
I dwie łzy po twarzy zbladłéj,
Jak dwie perły się stoczyły.....

Wacław Szymanowski.

Jakób Górski

I

FILOZOFIA.

—

Kiedy minęła najświetniejsza dla scholastycznéj filozofii epoka, rozum ludzki przeczuwać zaczął swoje siły i uznawać je w sobie. Mało znajdowało się pożywnéj strawy dla myśli rozbudzonéj z długiego uśpienia w Arystotelesie, skażonym w arabskich przekładach i Platonie, ubranym w barwę aleksandryjskiéj filozofii; inne zaś systemy nieznane były. Tymczasem wyprawy krzyżowe wytarły nieco przesądy i rozszerzyły ciasny dotąd obręb widzenia rzeczy; wzniósł się stan średni a z nim i rzemiosła i sztuki i przemysł i rozległe stosunki handlowe. Języki narodowe zyskały prawo obywatelstwa: zjawił się w Italii Petrarka, Dante i Bokaczio, Trubadurowie we Francyi, śpiewacy miłości (*Minnesänger*) w Niemczech. Już Scholastyka nie mogła zaspokoić nowo zrodzonych potrzeb

i traciła powoli na swojéj powadze. Plato pokazał się na Zachodzie w oryginale: tłumaczono go i czytano, ale jeszcze przez okulary aleksandryjskich uczonych,—a stąd się domieszało wiele bredni Plotyna. Zrodziła się Kabalistyka, gdyż sądzono że nauka Platona płynie z tego źródła, z którego spłynęła Magia Orfeusza i Zoroastra. Zjawił się i Arystoteles w greckiéj szacie a jego zetknięcie się z Arystotelesem w barwie arabskiéj nowe sprowadziło przemiany. Jakby wreszcie nie dosyć było zamętu sprawionego przez Platoników, Nowo-Platoników i Kabalistów krzewiących się na dziedzinie filozofii, widzimy jeszcze walki Scholastyków z Antyscholastykami.

Do ostatnich należeli mianowicie Laurencyusz Valla (r. 1465) Rzymianin, który wyśmiewał napuszone mędrkowanie i rozbujałe zaciekłości szkolnych wykładów duchowieństwa. Rudolf Agricola (1485) Niemiec, który swémi mowami, pisanémi wyborną łaciną zaprawiał smak do autorów klassycznych; a tém samém wstręt do bezowocnych bałamuctw dyalektyki. Ludwik Vives (1537) Hiszpan, w zdrowéj i bezstronnéj krytyce wykazał wszystkie błędy swojego uczonego wieku. Piotr Ramus (*de la Ramée*) snuł w dyalektyce zasady prawéj loiki i powstawał nawet z uprzedzeniem na Arystotelesa, gwoli oswobodzenia rozumu z krępujących go przepisów.

Około tych czasów Jakób Górski, głowa Akade-

mii Krakowskiéj, ulubieniec Zygmunta Augusta i Stefana Batorego, wydał w Krakowie 1563 r. loikę pod napisem:

Jacobi Gorscii Dialecticae Artis Commentariorum Libri decem.

Dzieło to napisane wyborném piórem w języku łacińskim, stawia Górskiego w rzędzie pierwszych filozofów polskich. Korzystał on prócz starożytnych, z prac najznakomitszych wieku swojego uczonych, a mianowicie tych, o których wspomnieliśmy 1). Rzecz godna uwagi, iż ani przed Górskim, ani po nim nie było w Polsce filozofa eklektyka, bo Adam Bursiusz (o którym powszechnie mówią jako o eklektyku) nie korzystał nic prawie z prac spółczesnych uczonych 2). Zwrócić tu wypada uwagę czytelników, że Górski pisał w czasie kiedy jeszcze ani Bakon ani Gassendy nie wstąpili w zawód naukowy. W 16 wieku stanęła u nas Filozofia pod piórem Górskiego i Bursiusza na zenicie swojego wzniesienia: później smutne położenie kraju z powodu wkradających się nadużyć, prześladowania religijne i troskliwość zbyteczna Jezuitów, nie pozwalały rozkrzewiać się ani rozwijać filozofii na niwie naukowości, zarośniętej głogami i chwastem.

Loika Jakóba Górskiego zaprawiwszy smak do autorów łacińskich klassycznych, a mianowicie do wczytywania się w dzieła Cycerona, przyczyniła się wiele do uchylenia skażonéj szkolném użyciem

łaciny, co już mieli na dobie Jan Grot (1347), Grzegórz z Sanoka (1477) i Jan Długosz (1415—1480). Górski więc uczynił to dla Polaków, co Agricola dla Niemców, a nawet uczynił więcéj, bo w kraju waszym podówczas nauki rozpływały się nietylko w tło spekulacyjnego ale i polityczne go życia.

O innych mniéj ważnych pracach naukowych Górskiego, ciekawi czytelnicy dowiedzieć się mogą z dzieła S. Sołtykowicza p. t. *O stanie akademii Krakowskiéj* (przypis. 45 od str. 300—325).

Feliks Jaroński w części trzeciéj dzieła swojego *o filozofii*, wydanego w Krakowie 1812 r. w ustępie *o Loice w Polsce* wspomina o Jakóbie Górskim, a z jego loiki przytacza urywki następujące: *Różnica między Loiką, Dyalektyką i Retoryką.* (przypis. 1.) *O rodzajach i gatunkach* (przypis. 19), *o pronuncyatach* (przypis. 20) 3).

J. H. S. Rzesiński we wstępie do tłumaczenia Tennemana przyrzekł wykazać i ocenić zasługi przodków naszych w zawodzie Filozofii i miał wkrótce wydać rzecz *o Filozofii w Polsce.* Nie wiadomo nam, czy to pismo już wyszło, ale byłaby to nieoceniona przysługa, a podobne dzieło tém jest potrzebniejsze, że widocznie przejawia się u nas popęd do rozpatrywania się w przedmiotach, mających na dobie filozofią. Rzecz ciekawa jak się P. Rzesiński z danego przyrzeczenia wywiąże?

A jednak mamy ku temu warunki swojskie w wie-

6

lu względach dostateczne. Nie mówię tu o niektórych tylko jasniejących u nas indywiduach jakiémi są Jan Grot, Grzegórz z Sanoka, Jan z Głogowy, Jakób Górski i w. i; — nie mówię o dążności rozkrzewiania niemieckiéj filozofii przęz gorliwych o dobro nauk ziomków; ale chciałbym uwagę piszących zwrócić na cały peryod scholastyczny. Filozofia scholastyczna panowała u nas od zaszczepienia oświaty w 14 wieku do ostatnich prawie czasów i dziś jeszcze po klasztornych ustroniach odbija się jak głuche, przeciągłe echo. Peryod ten zawierający niemal pół tysiąca lat, jakże niezmierny obszar badań przedstawia? i (powiedzmy prawdę) ileż mozolnéj pracy wymaga? Od rozjaśnienia jego wszakże zawisły w części dalsze u nas Filozofii postępy, dalszy kierunek umiejętnéj uprawy naukowości, słowem przyszłe nadzieje, które już po części ziszczać się zaczynają, niby zorza rumieniąca wschodnie niebo budzącego się ducha oświaty. Nie sądźmy, że Teologia, nie pozwoliła całkiem rozwijać skrzydeł rozumowi, żeglującemu po nadpowietrzném zaświeciu w rozrzedzonym dyalektyki żywiole! Jeżeli Bruker rozpatrując się w dziejach Filozofii wszystkich narodów i wieków, szuka objawy jéj nie tylko w czasach przed-dziejowych (*philosophia diluviana*), ale w pierwszym jéj zawiązku przed potopem jeszcze (*philosophia antediluviana*), — dla czegóżby Polacy nie mieli roztrapiać śladów filozoficznego

ducha w Scholastyce? on tam nie zamarł, tylko zastygł, odrętwiał, dając kiedy niekiedy znaki życia. Te to znaki są wątkiem, który dziejopis winien snuć z filozofii scholastycznéj, jak snuje domysły z mit religijnych Persów, Indyan, Chińczyków i całego niemal Wschodu, a nawet z pomników Neo-platonizmu pozostałych w dziełach Eklektyków i Synkretyków aleksandryjskiéj szkoły.

J. Majorkiewicz.

PRZYPISY.

(1) W przedmowie *ad Juvenes Artis Dvalecticae Studiosos* Górski mówi: «Praecepta Artis Dialecticae unum in locum ex multis variisque scriptoribus collecta, exhibemus. in quibus conficiendis primum Aristotelem cum Cicerone, Duces disserendi optimos: deinde Rudolphum Agricolam, Joachimum Perjonium, Joannem Sturmium, Georgium Trapezuntium, Magistros: Petrum praeterea Ramum, Bartholemeum Viotum, Jodocum Villichium, Joannem Caesarium, Caelium Curionem, Philippum, Melanchtonem, bonos adjutores habuimus.»

(2) Barski przypisując młodemu Tomaszowi Zamojskiemu swoją loikę mówi: «Hic videbam nihil ex ingenio explicari, sed monumentis veterum insisti: nec novam aliquam artem condi sed veterem pro virili restaurare conari. Itaque trium Sectarum consuetudines, Stoicae, Academicae, Peripateticae, *decilitatis* causa, tribus personis attribui et singulas Dialecticae partes singulis libris distribui, quos Tibi Thoma, generosissime, dico.

Nie wiem czy słusznie P. Sierpiński mowi o dziele Barskiego, *iż nawet dziś po przejawie Bakona i Lokka zaszczytne zajmuje miejsce*, gdyż to nawet po epoce Montenia, Szarrona, Gassendego, Jordana Bruno, Kampanelli, już traci wiele ze swojej wartości; a cóż dopiero mówić o Bakonie i Lokku!

(3) Est igitur pronunciatum oratio perfecta, vel verum vel falsum declarans..... Quod Graeci ἀξίωμα vocant. Cicero qui primus haec latine tractavit, interdum *pronunciatum* et *pronunciationem*, interdum *effatum*: Narcus Varro, *proloquium*, graeco verbo transferens vocavit: vulgo *propositionem* appellari videmus.

SŁAWA.

Są pewne czyny, mniemania, wyrazy nawet pojedyncze, uświęcone powagą czasu, do których wielką przywięzujemy wartość, i z poszanowaniem godnem bóstwa, z przekonaniem pełnem wiary, bez przejrzenia istoty, rozbadania powodu i skutków idąc ślepo przez całe wieki mylną drogą, nie mamy czasu nie chcemy nawet przekonać się, iż to co w naszych oczach sięga szczytu dobroci wcale jest czém inném. Rzućmy tu kilka postrzeżeń nad jednem tylko wyobrażeniem o Sławie.

Sława, to bóstwo mamiące ludzi od wieków, dla którego poświęcamy częstokroć szczęście własne i innych, czyliż nie jest potężniejszą nad samą nadzieję? Nadzieja obiecuje nam wiele rzeczy bąć materialnych bąć nadzmysłowych lecz z bytem naszym ściśle na pozór powiązanych — sława, czcze słowo, które jest niczém, mniej niżli wiatr w przestrzeni lub zapach roztapiający się w powietrzu,

niźli dym nawet—zapach i dym działają chociaż chwilę na zmysły, sława błędne tylko nakarmia uprzedzenia, przechodzi z myśli do myśli jak głowa po dziadach i pradziadach w puściźnie na karki wnuków przylepiona.

Cóż jest sława? jeden listek laurowy, posąg, pieniądz z twojém imieniem który z ręki do ręki biegnie, kawał płótna z obrazem, rycina w książce, dzieła z nazwiskiem na tytule, imie tysiąckrotnie naznaczone, imie z ust do ust przez wieki w pokolenia przesłane, imie świetnym blaskiem wielkości w oczach i mózgu braci jaśniejące.

Cóż jest sława? czyli ona dotknie cię bezpośrednio, przedłuży jeden dzień życia, wyryje piętno swéj dobroci, zostawi dla ciebie ślad jaki? ale ślad nie urojony, nie w słowie nie na papierze; czyli przysporzy włos chociaż jeden na głowie, roskosz w duszy któraby życie karmiła rzeczywiście?

Ty poświęcisz im młodość, zdrowie, życie i tak już krótkie, na czas porozdzielane, oblejesz się potem pracy, i krwią wytoczoną nie dla swojego szczęścia; a oni, oni ułamią dwie gałązki zielone i włożąć za to na głowę... albo wieko trumny lub kamienny grobowiec temi gałązkami przyprószą.

A ty będziesz się karmił liściem lauru, zmartwychwstaniesz na wieki, i będziesz się przyglądał jak ci ładnie w tém zielu które szczęście i swobodę życia twego wydarło a blizny nawet nie zakryje! Liść zwiędnie, rozkruszy się, opadnie—

dzieci na obrazek w zakurzonéj księdze popatrzą, rozedrą go razem ze sławą; starsi zapomną, bo będziesz mieć następców, którzy imie twoje przytłumią, może wzgardą jeszcze okryją, dlatego iż narodziłeś się przed niemi i wspierałeś działania które z ich potrzebami wcale się już nie zgodzą.

Jeśli chcesz lauru i wieńców, narwij sobie liści do woli, ustrój się gałązkami, wypatrz oczy na tém pięknéin, cudownéin zielu. — Ileż to trzeba sławy, aby żywemu człowiekowi wystawiono pomnik pamięci, coby postać, ubior, myśli nawet napełniające go jeszcze, w każdéj chwili, dla każdego przychodnia najwierniéj przedstawiło. Jeśli cię taka sława spotka po śmierci, to chyba wprzódy nadzieją onéj cieszyć się będziesz jak dziecko — jeśli żywemi oczyma spojrzysz na kawał głazu, żelaza, złota, na obrazek z papieru, a pod spodem czytając napis, to ja! pomyślisz sobie, ja to jestem, uwieczniony dla ludzi, to ich wdzięczność hołd i nadgrodę mi oddaje — i myśli twoje rozradują się chwilę, słyszeć będziesz okrzyki uwielbienia, widzieć radość na obliczu współbraci; i krew zawre ci w żyłach, a myśli ognistym błyskiem się zmącą... o będziesz szczęśliwy! bardzo szczęśliwy, szczęśliwszy nad wielu ludzi, nie będziesz ani jadł ani pił, ani spał, ta sława cię nakarmi i pokrzepi... nie prawdaż?... Przecież, nie tylko chlebem człowiek żyje, człowiek nie jest prostém zwierzęciem — bardzo wierzę; życie i śmierć nas rozróżnia, zwierz

zdechnie i obróci się w proch, człowiek sławą, imieniem swojém żyć będzie przez wszystkie wieki; imie jego żyć będzie... imie?... szyderco!!

Widzieliście posągi, medale i obrazy; czytaliście wielkie księgi; cóżeście w nich widzieli, co wyczytali?... kawał głazu, blaszkę, płótno pomalowane, na tém głowy z oczami, z czołem, obliczem i zębami — pod tém czołem przeburzały się myśli, wrzał mózg, palił ogień piekielny — te oczy patrzały chciwie w świat i chwytały w swoje zwierciadła co tylko przed nie padło; a wszystko wybijało tam piętno, niby pamięć — nigdy niestarte, niby cień, dagerotyp — farby przechowały im uśmiech, chmurę smutku, boleści, poświęcenia; cóżli głowom zostało? uśmiech uciekł z oblicza, smutek i boleść przywarły tam do końca — a zęby? zęby dziś zcięte, kiedyś przebijał się przez nie głos, gdyby ten głos dzisiaj ożył, czyliżbyście wy śmieli wysłuchać jego mowy?...

Cóż znaczą te posągi, piramidy, kolumny? — czyliż patrzycie na Trajana, jak na Trajana co żył i działał? bajka, widzicie tylko głaz, zimny, podobny do człowieka, lecz bez życia — a przeszłość? to tak dawno; któżby dziś myślał o Trajanie! my oglądamy piękną rzeźbę, smagły słup, bo to ładna ozdoba.

Zbieramy i medale i obrazy, lecz wyznajcie, czyliż raczej nie na to że są ładne, mają wartość pie-

niężną, że dzieci pochwalą się pradziadem jak chłopskie źrebie przodkiem turkiem co kosztował dziesięć tysięcy?... szalony, jakież wam porównanie stawiłem? niedorzeczność, wszak prawda?

A te księgi zbutwiałe, rozrzucone w narody i późne pokolenia?.. jakże tam pięknie jaśnieją imiona mędrców, jakże oni szczęśliwi?... ich prochy radują się w mogiłach, z ich słów wyrosną nowi mędrce, może my nawet? biegnijmy, o, będziemy bardzo szczęśliwi.

Jednak te księgi zawierają skarby prawdziwe, ich twórcom wdzięczność nasza należy — wierzajcie, wdzięczność ta już im się na nic nie przyda. Autor zginął, nie zginął, ciało i kości jego czas przetrawi, myśli się rozproszyły, a cała niegdyś tyle mądra istota, rozłożona w przestrzeń świata materją i duchem, w nowym bycie czy życiu, nie będzie już człowiekiem coby sławę w głowie swojej piastował. Z książki pozostanie użytek, ale użytek z czynu a szczęście działacza, to rzeczy wcale różne — o użytku wspomniemy później. —

Nie ze złej strony tylko spoglądam w świat myślami — kiedy badam co w złem można znaleźć dobrego, w dobrem złego, wypadnie porównanie, środek, treść. Mówiłem o sławie, jak z goryczą widzieć ją w życiu naszém tylokrotnie przychodzi. Teraz zastanówmy się chwilę, czyli odzierać można z ludzi i śmiało i od razu tę maskę przez

maskę przez chytrość narzuconą a potrzebną im jeszcze dopókąd wpierw nie przejrzą.

Sława potrzebną jest: jako wypadek historyczny, dla przykładu — jako widok spekulacyjny, materjalny — jako sposobność uczucia i oddania należnéj komuś sprawiedliwości — i jeszcze może, jako pobudka szlachetnych czynów litości pracy i odwagi; ale dla tych jedynie, którzy silniejszego uczucia wzbudzić w sobie nie potrafią.

Sława przechowała nam pamięć czynów i imion dobroczyńców ludzkości; męży poświęcających życie i całe dobro swoje dla szczęścia drugiéj współbraci; pracowitych pisarzy lub wynalazców którzy umysłowe zdolności, wiedzę z istném uczuciem prawdy, z niepojętą nie ocenioną od gminu wytrwałością dla dobra ogółu poświęcili. Sława przedstawia nam szczęśliwych, zdobnych powabami natury, udarowanych od niéj niezwyczajnie, talenta i gieniusze błyszczące wśród ubóstwa całéj massy jednostajnych zwierzęcych zdolności. Były to pierwotwory a kronika w sławie ich zawarta, jest iskrą życia, przebudzeniem dusz śpiących, pochodnią i wskazówką półcnotliwym. Lecz jeżeli błogosławiemy sławie która nam pamięć Chrystusa i jego dobroczynną przechowała naukę, wyznajmy szczerze, iż razem taż sama sława przedstawia nam tłumy naśladowców bez pojęcia, i sług niegodnych jego.... Gdybyśmy chcieli zatrzeć pamięć pierwszych działaczy, gdyby niszcząc ich ra-

dy i prawa a razem drogę utartą czynami wieków, i zebrawszy olbrzymie doświadczenia wyrzekli śmiało ludowi: tak czyń bo to twoje szczęście stanowi, tu, z własném poświęceniem zapomnij swoich korzyści, bo tego dobro powszechne potrzebuje... zaiste, nie wszyscyby pojęli, nie wielu nawet, ponieważ wielu czyni dobrze nie dla tego iżby dobrze uczynić, ale iżby świat ocenił i wyrzekł, że to oni tak czynią.

Sława potrzebną jest jako widok spekulacyjny — i nie miejmy tego za złe — ludzie tyle potrzebami swojemi narobili zamętu, iż nie łatwo im wskazać co z ich dobrém dobro nasze pogodzi. Spekulacyjne ubieganie się o sławę nie wypływa zapewne ze źródła czystéj poczciwości, ale przynosi wiele ulepszenia i korzyść rzeczywistą, z któréj dalsze płyną następstwa.

Sława potrzebną jest, jako sposobność uczucia i oddania należnéj komuś sprawiedliwości — mówię uczucia wtenczas, kiedy rozważając dzieło człeka, chociaż mu nikt nie zaśpiewał hymnu pochwały, my sami oceniamy jego zasługę, wzbudzamy w sobie cześć, uwielbienie dla niego, chcemy podać za wzór, nagrodzić wieńcem sławy, a to bóstwo staje nam wówczas z zadowoleniem w pomocy — może ów cnotliwy nie żądał i nie potrzebuje tego, ale nam miło uwielbiać takiego męża, a uczucia nasze moralne wiele na tém skorzystają. Chęć pozyskania sławy zrodziła nie ma-

ło wielkich czynów; lecz było to zawsze naśladownictwem jedynie, rodzajem własnéj spekulacyi. Bo spojrzyjmy w historję, ile to jéj pięknych niegdyś kart, wypełzło? Wiele rzeczy czyni się albo dla zasługi i sławy doczesnéj, albo dla dobra własnego, choćby nawet na późniéj, na wieczność spodziewaną — a to przecież nie jest zaiste prawdziwą cnotą.

Jeżeli zatem upatrywać zechcemy dobréj jakiéj strony w oznaczeniu sławy, to bez wątpienia będzie ona nam jaśnieć jak lampa zapalona w dzień widny wśród zamkniętej komnaty — a pocóż nam wówczas ukrywać światło dnia?...

Człowiek jeżeli poznał byt ogólny natury, wszystko co czynić będzie nad potrzeby jego konieczne, uczyni bezwarunkowo. Rozsądek wskazuje nam działać jak najlepiéj, bo pewnie nikt sobie nie wytłomaczy, iżby lepiéj było robić źle. Kiedy więc wiemy, iż dobre lepszém jest złego, na cóż nam przeto szukać innych do działania pobudek. To pewna, iż jeśli chęć sławy przynosi jakie a może nawet wielkie korzyści, to też prawda także, że sława nie mało krwi niewinnéj niepotrzebnie przelała, iż była i jest źródłem największych i licznych nieszczęść, że mami biednych ludzi haniebnie, ponieważ ze słabéj dziecęcej igraszki w tak potężne urosła bóstwo. Gdyby się ludzie wyrzekli sławy, nie straciliby nic na tém. Każden wie co jest potrzebne dla dobra jego, jego familii, rodaków, i

współziomków to jest wszystkich mieszkańców ziemi, a nawet całéj zależnéj od nich natury. Niechby się zatem starali wszyscy o dobro swoje pojedyncze, i o dobro ogółu, w porównaniu jednego z drugiem, przewagą potrzeby, istoty, i sprawiedliwości. Nie idzie za tém, iżby dla dobra czyjegokolwiek, poświęcać się bez rozmysłu — owszem starajmy się zawsze zapewnić własne szczęście.

Nie idzie zatém, iżby dla własnego jedynie dobra, dla swojéj familii, a nawet dla swoich współbraci, poświęcać dobro powszechności, bo przecież wiemy także, iż każda cząstka ściśle do jednego należy ogółu.... Tu wszystko się łączy, stapia razem, jako całość pojedyńczego indywiduum — utnij komu naprzykład rękę, będzie on żył dla tego, ależ lubo i głowa i nogi i druga ręka z innemi częściami ciała w zdrowiu mu pozostały, czyliż organizm tego człowieka będzie wówczas zupełnym, jak go poprzednio natura stosownie do potrzeby utworzyła? Jeśli kwiat cały nie napoi się ciepłem i rosą, żadna z jego cząstek doskonałą nie będzie także. Tak samo, oddziel od szczęścia całości szczęście jednéj cząstki, albo zrób jednę cząstkę szczęśliwą a nadweręż przez to inne, także nie będzie zupełnego dobra. Kiedy więc o podobnych przekonywamy się skutkach, nie pozostanie nam więcéj, jak tylko działać o ile można najlepiéj najcnotliwiéj i najkorzystniéj, ze stosowną przewagą godząc ogół z sobą. Ależ nie żądajm

7

owéj nagrody, sławy — czyńmy jak nam czynić przystoi, a otrzymamy wyższą, bo w uczuciu jedynie własnego zadowolenia nagrodę.

S. Z. S.

ROZPORZĄDKOWANIE DZIEJÓW FILOZOFII.

Wykład pojedyńczych epok i systemów Filozofii, poprzedzić musi ogólny zarys jéj dziejów: ten nam bowiem stawia pod oczy stanowisko każdego pojedyńczego systemu i epoki w takim sposobie, iż zawsze wiemy jaką one są częścią względem całości dziejów.

Peryod I.

Kiedy Solon był prawodawcą Greków a Konfucyusz Chińczyków, Filozofia krzewić się zaczęła na zachodniém pomorzu Azyi mniejszéj, śród wychodniów Greckich (Jonów). Od nich bierze nazwę *Szkoła Jońska*, któréj zaszczepcą był Tales z Miletu a przedstawcami: Anaksymander i Anaksymenes: Anaksagor staje się odnowcą téj szkoły, bo od niego zaczyna się prawdziwa Fizyka.

Spółcześnie z Talesem, czy téż nieco późniéj nauczał Pytagoras, który czerpał naukę swoją od kapłanów egipskich, Braminów indyjskich i innych mędrców Wschodu. Nauczając po różnych miejscach, osiadł nakoniec w Krotonie (w Italii południowéj, zwanéj Grecyą wielką). Szkoła jego była zakładem moralno-politycznym, który miał na dobie, wytępienie miękkości i rozwolnienia obyczajów, co od Jonów azyatyckich przeszło i do osad, nie dotknęło Grecyi, ale posunęło się do najwyższego stopnia w Italii np. w mieście Sybaris.

Szkoła Pytagory zwana Włoską, rozszczepiła się potém na dwie inne—Eleatów. Przedstawcami tych są: Ksenofanes, Parmenid i Zeno — Demokryt i Leucypp. Nasady nauki Heraklita (nauczyciela Hippokrata) i Empedoklesa, zbliżają ich do szkoły Jońskiéj.

Rzecz godna uwagi, że Pytagoras, Heraklit i Anaksagor, trzéj mężowie najznakomitszych zasług w filozofii przed Sokratesem, przedsiębrali dalekie podróże i zbierając mniemania po kuli ziemskiéj rozsiane, nie przywiązywali się wyłącznie do żadnego.

Zeno, który miał dać początek loice, wyrzekł iż ziemia nic nie ma rzeczywistego a wszystko jak mgła ulata przed promieniami rozumowania. W ogóle Tales i jego szkoła zajmowali się więcéj *rodą* (naturą), niż oderwanémi rozbadywaniami; przeciwnie Eleaci. Ostatni nie dowierzali uczu-

ciom, polegali na oderwanych pojęciach, a potworzone formuły rozumowania zwikłały ich tém bardziéj. Wówczas dopiéro zjawili się Sofiści (nauczyciele mądrości) którzy własnym korzyściom poddawali czystą sprawę cnoty i prawdy; i za nich to skażenie Filozofii doszło do najwyższego stopnia.

Peryod 2.

Od Sokratesa Filozofia godniejszy bierze polot. On walczył przeciwko sprośnéj zgrai Sofistów a Filozofią (jak mówi Cycero) błąkającą się po gwiazdach na ziemię sprowadził. «Nie filozofujmy (mawiał Sokrates) dla szkoły, ale dla potrzeby społecznego życia.» Naukę jego przechował w pierwotnéj czystości Ksenofon a rozwinął i udoskonalił Plato, któremu potomność przydomek *boskiego* nadała. Szkoła jego (Akademia) bierze nazwę od ogrodu Akadema, gdzie zwykł był nauczać. Szkołę tę nazywamy *Akademią dawną*, dla odróżnienia od Akademii *średniéj* i *nowéj*, w których dogmatyzm Platona przerodził się w skeptycyzm. Zasadcą pierwszéj był Arcezylaus, drugiéj Karneades. Podobny skeptycyzm wyłonił się i ze szkoły włoskiéj w Pyrronie, ukształconym na pismach Demokryta *). Po Karneadzie już nie widać systemu pierworodnie pomyślanego w filozofii greckiéj.

*) Skeptycy idący śladem Pyrrona mają nazwę *Pyrronistów*, a skeptycyzm jego napadający na dawniejszy dogmatyzm zowią często *Pyrronizmem*.

Arystoteles, zasadca Liceum, głowa Perypatetyków, ogarniał potężnym geniuszem wszechstronnie ogrom i rozgałęzienie wiedzy ludzkiéj. Jego dzieła są encyklopedyą oświecenia starożytnych, gdyż objął w nich i rozporządkował wszystko, co do jego czasów nagromadziło doświadczenie przeszłości. «Aristote (pisze Deżerando) survenant après Platon, eut un grand avantage, celui qui est assuré à un esprit calme, précis et méthodique lorsqu'il succède à un génie hardi, à une imagination brillante et féconde. Un savoir immense, un excellent ésprit d'observation, une conception vaste et facile, un goût singulier d'exactitude et de symétrie et si l'on peut dire ainsi, un génie éminent de régularité, semblaient constituer Aristote juge naturel des opinions de ses prédécesseurs *)».

Ze szkoły Sokratesa wyszło wielu filozofów, którzy mieli na dobie użyteczność, roztropność a odrzucali zagłębianie się naukowe w filozofii: do tych należy szkoła Cyników, co powstając na metafizykę i umiejętności przywiązywała się tylko do moralności (Antystenes). Arystyp, zaszczepca szkoły Cyrenejskiéj nieprzyjacielem był wszelkiéj wątpliwości i rozbadywania systemów.

Wzniosły się jeszcze dwie szkoły przeciwne sobie, które po Liceum, jaskrawém zabłysły światłem.

*) Ob. Histoire comparée des systemes de Philosophie relativement aux principes des connaissances humaines par J. M. Dégérando.

Jednéj zasadcą był Epikur, drugiéj Zeno. Ostatnia (Stoicy) najpiękniejsze wydała owoce; pierwszą spaczyli wyrodni uczniowie Epikura, co im godny przydomek *«porci e grege Epicuri»* nadało.

Peryod 3.

Po upadku rzeczypospolitéj greckiéj i rzymskiéj Filozofia przenosi się do Aleksandryi, miasta, gdzie się spromieniały, środkowały wszystkie systemy filozofijne, wszystkie religie, podania, handel i ludy starożytne. Rozum ludzki stracił energijną działalność i pierworodnie działać zaprzestał. Zbiérano tylko co się zdawało dobrego w każdéj nauce (eklektyzm), a późniéj zaniechano nawet wyboru, rostapiając w jedną massę najsprzeczniejsze pierwiastki (synkretyzm). Obszerniéj tę ważną epokę rozwiniemy w oddzielnym ustępie.

Peryod 4.

Na rozległym obszarze tego peryodu ciągnącego się przez lat prawie tysiąc (od 6 do 16 wieku po Chr.) mało znajdujemy żywiołu dla myśli, więcéj imion uczonych, jeszcze więcéj erudycyi a najwięcéj wybujałych subtelności dyalektyki.

Potrzeba medycyny, która się u Arabów mocno czuć dawała, w miarę rozwijającego się u nich rozmiękczenia obyczajów i uchylania się od prostoty życia — utorowała drogę Filozofii. Smak do

nauk zaszczepiony w Kalifach, szedł wbrew niektórym przepisom proroka, opartym na zasadzie wiecznéj ciemnoty. Tłumaczono rękopisy greckie na język arabski a zamiłowanie nauk z Bagdadu przeniosło się do Korduby, Sewilli i Grenady w Hiszpanii. A kiedy u Rzymian zgasło światło nauk, kiedy ledwie tu i owdzie migotał bladawy promyk literatury kościelnéj, kiedy hordy dzikich rozdzierały pierś Europy i pruły serce Rzymu — Arabowie tłumaczyli Platona i Arystotelesa *).

Najznakomitsza jest ta epoka Scholastyki, w któréj żyli *Albertus Magnus*, S. Tomasz z Akwinu i *Duns-Scotus* godni lepszych czasów. Nie mniéj ważne są utarczki dyalektyczne Realistów i Nominalistów. Zwiastunami nowéj filozofii byli Okkam, Roger Bakon, Kampanella, Piotr *la Ramée* i w. i.

Peryod 5.

Rozpoczyna go Bakon z Werulamu, który czując nieodbitą potrzebę odnowienia drogi naukowości, porządkuje nauki i sztuki, zasadza wiadomości na

*) Tłumaczenia były błędne, bo ich nie czyniono z oryginałów, ale ze skażonych już tłumaczeń w języku syryjskim, Al-Mammun zaś przez źle zrozumianą gorliwość kazał niszczyć oryginały. Filozofowie arabscy pisze Ludwik Vives, czytają Ptolemeusza zamiast Platona, Pitagora zamiast Protagora i mnóstwo podobnych błędów grubych popełniają. Przechowanie rękopisów winniśmy zakonowi Benedyktynów, i później ustanowionym Dominikanom i Franciszkanom.

doświadczeniu i przeważny wpływ wywiera na postępy fizyki i filozofii.

W fizyce odznaczają się po nim jako twórcy pierworodnych pomysłów Gassendy, Dekart, Niuton, Lajbnic, Wolf.

Dekart chciał tego dokonać w świecie metafizyki, co uskutecznił Bakon w fizycznym. Nienawidził on tych, co dążą do przetworzenia społeczeństwa: dążył tylko do przetworzenia własnych myśli. A jednak jego zasady rozkwitły i sprowadziły wiele zmian w dziedzinie myśli. Nowsza filozofia jest przedłużeniem tego, co rozpoczęli Bakon i Dekart, a roszczepienie jéj odbiciem widzenia rzeczy pierwszych zaszczepców. Bakon zasadził sensualizm i materyalizm; Dekart spiritualizm i mistycyzm.

Zasady Bakona rozkrzewiali: Hobbes, Lokk i uczeń jego Berkelej w Anglii, Gassendy we Francyi, w Niemczech: Tomasius i Tschirnhausen. Za Dekartem poszli: Bossuet, Fenelon, Mallebranche, Spinoza i wielu filozofów francuzkich.

Między twórczémi geniuszami w zawodzie filozofii jaśnieje *Leibnitz*, którego naukę rozwinął i rozkrzewił Wolf, dla tego systemy ich noszą zwykle nazwę Lajbnico-Wolfianskiéj szkoły. Wolf to zebrawszy zasady Lajbnica, nadał im barwę umiejętnie zaokrąglonéj całości i pierwszy wystawił Encyklopedyą filozoficznych umiejętności, gdzie filozofią dzieli na teoryczną i praktyczną.

Podział filozofii teoryczněj.

1. Loika
2. Metafizyka
   a. Ontologia
   b. Psychologia
   c. Kosmologia
   d. Teologia naturalna

Podział filozofii praktyczněj.

1. Etyka
2. Prawo natury
3. Polityka.

Wolf nadto rozwinął system moralności, którego zaród widać w dziełach Lajbnica. Jest to system *doskonalenia się* (Vollkommenheit) który rozwinęli *Plattner* i *Garve*: Kiesevetter uważa że to jest zmieniony nieco system Stoików *). Uczniowie Wolfa którego szkoła była w Niemczech panująca

*) Ob. Ueber den ersten Grundsatz der Moralphilosophie von J. G. C. Kiesewetter: «Die Stoiker und Wolf gehen in ihren Beweisen für das Princip der Vollkommenheit, geben nicht sehr von einander an, wie die Darstellung nicht beider Systeme zeigen wird.» I rozbiera daléj oba systemy we wstępie «Prüfung des Princips der Vollkommenheit.» str. 88—96. W przypisie do artykułu naszego o *Filozofii życia* umieszczonego *w Piśmiennictwie Krajowém* r. z. wspomnieliśmy już że większą część tego dziełka wszczepił Modest Kosicki w swoją rozprawę p. n. «O główněj zasadzie i pożytkach Filozofii moralnéj.»

od r. 1725 do 1750 mianowitsi są: Bilfinger, Baumgarten, Baumeister, Ernesti, Eberhard, fizyczny teolog Reimarus, Mendelsohn, Plattner, Meiners i w. i. Między przeciwnikami godni uwagi Lange, Rüdiger i Crusius.

Tymczasem pośród krzewiącego się starowiecznego skeptycyzmu, nowego skeptycyzmu (Hume), materyalizmu i eklektyzmu; po systemach moralności Montenia i Mandewilla i z prawa wysnutych Grocyusza i Puffendorfa zjawia się nowy system Kanta, który był przyczyną wielkich zaburzeń, na dziedzinie filozofii. Rozwija się epoka nowa od Kanta do Szellinga, gdzie jaśnieją Fichte, Butterwek, Bardylli, Reinhold, Jakobi, Hegel, Szelling, i wielu innych.

Nie można tu pominąć nowych Eklektyków, którzy korzystając z doświadczenia, nagromadzonego przez pracę tylu narodów i wieków — czerpają w niém żywioły dla myśli, nie przywiązując się wyłącznie do żadnego systemu. Na czele ich stoi we Francyi *Cousin*, którego zasługi czas pokaże: zdaje nam się jednak, że te mniejsze są niżby się spodziewać należało.

J. Majorkiewicz.

PIEŚŃ GMINNA

A w jednéj wiosce cóż to się stało,
Dwoje się ludzi w sobie pokochało,
Przyszedł on do niéj o ósméj godzinie,
Wstań Magdaleno, wyprowadzisz ty mnie.
I ona wstała, i zapłakała,
Wzięła chusteczki oczki obcierała.
Zaprowadziła go do księży dworu:
Idź Mateuszu, idź z Bogiem do domu.
Lecz on jéj prosił by go daléj wiodła,
Ona od żalu już więcéj nie mogła.
Zaprowadziła go aż na rozstaje;
—«Tu cię zabiję! — bo cię nie dostanę.» —
I tu ją zabił, i tu ją pochował,
W zielonym gaju pogrzéb jéj zbudował;
Przyszedł do domu rodzicom oznajmił
Że Magdalenę z Menażowa zabił:

«Oto mnie macie, oto mnie trzymajcie,
Kiedym ja ją zabił i wy mnie oddajcie.» —
Zaraz go wzięli, zaraz go związali,
Ręce i nogi kołem połamali.

Zamieszczam tu mało znaną gminną piosnkę której w żadnym zbiorze nie zdarzyło mi się czytać: jest to jeden z piękniejszych tego rodzaju utworów, osnową jego zdaje się być zdarzenie prawdziwe, odbija się w nim prosty ale silny w pół dziki charakter ludu. Kochanek nie mogąc posięść swojéj ulubionéj, woli z siebie i z najmilszéj uczynić ofiarę, niż pozwolić by ją cudze kalało uściśnienie, zewnętrzne wyrobienie pieśni (nikt tu przecież nie pomyśli o rymach) wiele ma mocy, a całość z niejednego względu wyżéj pewnie stoi od wielu dziś zachwalanych poezyi.

F. S.

Krótki rys Jeografii, ułożony przez J. Presiowskiego. Wydanie czwarte. Warszawa 1841 str. 40 w 8ce.

Jest to martwe skupienie nazwisk jeograficznych w jedną zdrewniałą całość bez systemu, związku i znajomości rzeczy. Nie zasługiwałoby nawet na rozbiór, ale błędy jakie się tam wcisnęły skłaniają nas do ich wytknięcia.

W opisie Kr. Polskiego (str. 11—13) Autor wspomina o rzekach Nidzie i Kamiennie a opuszcza Niemen, i wpływającą doń Szeszupę. Nie ma wzmianki o Biebrzy i Drwęcy, a przecież te rzeki nie należą do mniejszych od Kamienny i Nidy; opuszczony także Ner wpływający do Warty.

Ludności w Polsce nie jest przeszło 4,000,000 ale przeszło 4,300,000.

Między rzekami w Rossyi (st. 14) wyliczony Dniestr, Bug, Prut, a opuszczony Ural i Peczora.

Turcya (str. 16) dzieli się na Baszostwa. Jeografia nas uczy, że kraj cały podzielony jest na 2 wielkie części, z których każdą zawiaduje *bejlerbej* czyli *bej bejów.* Prócz tego są działy na

ejalety czyli Księstwa, których poddziałami są *livas* czyli *sangiaks.*

W Serwii jest M. S. Belgrad nie Kargojewacz. W Kragojewacz (tur. Karadziofdżaf) małém mieście zebrali się tylko r. 1830 przedstawcy (reprezentanci) narodu dla wyboru Księcia dziedzicznego.

W Kr. Illiryjskiém nie jest MS. Klagenfurt, bo to Kr. dzieli się na dwa wielkie zarządy Lajbach i Triest. Lajbach jest MS. Illiryi, chociaż ma 5000 ludności, a Klagenfurt, mający 10,000 ludności jest MS. Ks. Karyntyi.

Prusy podług Autora (str. 19) dzielą się na 10 prowincyi. Podług Jeografii na 8 (nie licząc w to kantonu Neuchatel) a na 25 zarządów (Regierungszirke).

W krajach związku Niemieckiego (str. 19—20) poopuszczane Księstwa znaczniejsze a zamieszczone mniejsze.

Między państwami Włoskiémi autor kładzie Zjednoczone stany wysp Jońskich. (?)

Londyn w roku 1821 miał ludności przeszło 1,250,000 w 1826 powiększył się o 100,000 a podług Jeografii A. Balbi z 1830 r. zawierał 1,400,000 l. Od tego czasu ludność powiększyła się nie zupełnie o 100,000 czyli wynosi, 1,500,000. Londyn więc można uważać za najludniejsze miasto na kuli ziemskiej, bo Pekin (podług P. Klaproth) nie ma więcej nad 1,300,000, Jeddo prawie tyleż, Paryż przeszło 900,000, Konstantynopol 600—700,000.

Wspomniony A. Balbi pisze, że ludność Londynu przenosi ludność razem wziętą: Paryża, Lugdunu, Marsylii, Bordo i Rouen, największych miast francuzkich; Neapolu, Palermo, Rzymu, Milanu, Turynu, Wenecyi, Florencyi, Genui, Bolonii i Livorno — dziesięciu najznaczniejszych miast Italii. Jest prawie 2 razy większą względem 4 najludniejszych miast niemieckich: Wiednia, Berlina, Hamburga i Pragi, i względem najznakomitszych miast Europy wschodniéj z jednéj strony Petersburga i Moskwy; z drugiéj Konstantynopola. Przewyższa znacznie razem wziętą ludność Petersburga, Moskwy; Kopenhagi, Sztokolmu, Glasgowa i Edymburga. Nie wiedział o tém wszystkiem Autor krótkiego rysu Jeografii, pisząc, że Londyn ma przeszło milion ludności; a wstyd dla autora Jeografii nie wiedzieć o Jeografii Balbiego.

W opisie krajów Kaukazkich nie ma ani jednego miasta, jak we wszystkich niemal opisach krajów w Afryce. W Indyach wspomniano o prezydencyi Kalkutta a czemuż opuszczone Madras i Bombaj? do udzielnych krajów w Indostanie mają należyć Moratowie (?). My tylko wiemy że są rosproszeni w środku pół-wyspu i na Malabarskiém pomorzu.

W Ameryce podziały fizyczne i polityczne są razem pomieszane. Peru dzieli autor na północne i południowe— dla czego? nie wiadomo. W północném ma być MS. Huaura (zapewne przez omyłkę drukarską Huanra) w południowem Sicua-

Szczególniejszy Jeograf z naszego autora! Lima jest miastem stołecznem okręgu Lima i Rzeczypospolitéj Peru. Inne miasta są Puno, Cuzco, Humanga, Huanuco, Truxillo a po nich dopiéro idzie Huaura.

W Boliwii podobnie nie jest MS. Bolivia, ale Chikwisaka (Szykwizaka) założona przez Peruvian w pierwszéj połowie 16 wieku — która przyjęła później nazwę La Plata (Srebrną) od bogatych min srebra znajdujących się w sąsiedztwie.

Niech nam także Autor zechce wyjaśnić, co to jest za państwo Texat z MS. Velasquez, które się mieści w rzędzie Mexyku, Gwatemali, i Stanów Zjednoczonych?

Wytknąwszy błędy, które są dobitnie przemawiającym dowodem, że liczba wydań nie zaręcza jeszcze za dobroć pisma, powinnibyśmy przystąpić do rozebrania sposobu, jakiego się trzymano w wykładzie nauki. Ale cóż można żądać po pisarzu, który w elementarnych wiadomościach tyle grubych popełnił błędów? Ludność wykazana tylko w Polsce i w 4 częściach świata: w opisie fizycznego położenia nie ma żadnego planu, słowem cała książka jest dowodem, że ten co ją napisał nie tylko nie był Jeografem, ale nie miał wiadomości jeograficznych pierwszych, jakich wymagamy po dobrych uczniach klass niższych; nie miał nawet najmniejszego o Jeografii wyobrażenia.

J. M.

NAJNOWSZE

KSIĄŻKI POLSKIE.

Poezye Brunona Hrabi Kicińskiego. Oddział Iszy, tomów 4ry. Warszawa 1840.

Są tu przekładane i nieprzekładane wiérsze, w różnym guście — co kto lubi. W pierwszym tomie autor skreślił w przemowie pochodzenie swéj rodziny od szczepu Sławiańskiego Kicinów, stosunki familijne, zasługi swych przodków; do tego dołączono z całą urzędową formalnością dyploma Cesarza Austryi na hrabstwo ojcu autora nadane po łacinie i po polsku, nadto portret Piusa Hrabi Kicińskiego Szefa Gabinetu Króla Stanisława Augusta, bardzo pięknie odbity. Papier, druk i ozdoby wykonane w drukarni Bankowéj, wyborne.

Historya o bladéj dziewczynie z pod ostréj bramy. J. J. Kraszewskiego. tom 1. 1841. Wilno.

Treść blisko z pokrewniona z powieścią trzecie-

go tomu Wędrówek (przedrukowaną w 12 zeszycie zeszłorocznego Przeglądu) pod tytułem *Życie Siéroty*.

Stańczykowa Kronika. J. J. Kraszewskiego. tom 1. 1841. Wilno.

Jedna ze słabszych prac autora — opisano tu dawnym stylem wypadki od 1503 do 1508 roku.

Poezye Szymona Konopackiego. tom. 1. 1841. Wilno.

Zbiór to różnych pomniejszych, dość obojętnych utworów; najcelniejsza z nich powieść historyczna *Starosta Wilczek.* Treści tejże saméj mieliśmy już powieść prozą w *pamiętniku dla Płci pięknéj — przed laty dziesięcią.*

Heraldyka N. Malinowskiego. Tom 1. Warszawa. 1841. z litografowanemi tablicami wzorów.

Linksmine, prace literackie. Wilno 1841. tom 1.

Z zamieszczonych tu poezyi najwięcéj wart *Rapsod* J. J. Kraszewskiego. Rzadko czytać się zdarza tak wzniosłą poezyą tchnący utwor, jakkolwiek niewykwintny w formach zewnętrznych. Wydane osobno poezye autora, w wielu miejscach słabe a bardziéj niewykończone, dały powód do odmawiania mu poetycznych zdolności; ale dość jest przeczytać *Maryą Magdalenę, do Nowonarodzonego, Ślepą babkę, Pijanego*, i wreście wspomniony Rapsod, aby ocenić niewłaściwość takowego zdania, i całą zdolność Krasze-

wskiego, w której rozwinięciu najpiękniejsze polegają nadzieje. Z prozy odznaczają się *Rozmyślania na dzień Nowego roku* M. Choroszewskiego, *Bałtyk* Ludwika z Pokiewia, i nakoniec dobrze przetłómaczona powieść Waszyngtona Irwinga *Adalantado siedmiu grodów.*

Pierwiosnek Noworocznik na rok 1841. złożony z pism samych (nazwę kobiét jako zbyt prostą i niedelikatną zastąpiono cudzoziemskim wyrazem) *dam* Warszawa.

Jest to jak w zeszłych latach zbiór nierymowanych i rymowanych kawałków. Nie dzielimy uniesień objawionych w innych pismach nad poezyą *Pierwiosnka*; owszem, z żalem wyznać musimy, że wraz ze zniknięciem z kart jego podpisu Józefy P... znikł cały zapał i uczucie. Są to kwiaty zebrane z różnych książek, które nie przyjęły się w sercach autorek.

Z prozy uderzył nas mocno spaczonym i niedorzecznym o *poezyi* sądem, artykuł Eleo: Ziemęckiéj *Poezya i Kazimierz z Królówki.*

Niezapominajki. Noworocznik na rok 1841. Wy dawca Korwell Karol. Warszawa.

Między umieszczonemi tu poezyami celuje *Niebo i Ziemia* przekład z Lorda Byrona przez A. E. Odyńca. Z prozy wyborna powieść *Pan Kaniowski.* Miło jest widzieć jak ten rocznik coraz wyższy okazuje postęp, za co należy oddać dzięki jego redaktorowi, który nie szczędzi starań i za-

biegów, aby publiczności wraz z miłą rozrywką, przynieść umysłową korzyść.

Athaeneum, pismo poświęcone Historyi, Literaturze, Sztukom i Krytyce i t. d. Wydawca J. J. Kraszewski. — Wilno. 1841. Wyszło tomów 2. W pierwszym tomie *Biała na Podlasiu* przez wydawcę pełne zajęcia prostoty i prawdy: każdy kto widział to miasto, zgodzi się bez wątpienia na nasze zdanie. Omyłką pewnie drukarską klasztor Reformatów, kilka kroć Bernardyńskim nazwano.— Wielkiéj także jest wartości przekład z francuzkiego: *Sztuka dramatyczna i teatr dzisiejszy w Anglii*, i w drugim tomie *Rzut oka na literaturę Niemiecką*. Chociaż Ateneum mieści po większéj części tłumaczenia, przebija się jednak wszędzie dążność do rozpowszechnienia wyobrażeń, nie dość u nas rozkrzewionych, a zatem utilitarność, co właśnie każde pismo czasowe na dobie mieć winno.

Nowa metoda uczenia się Jeografii p. J. Majorkiewicza. Warszawa 1841 w 12ce str. 156 i XII.

Niektóre Poezye Ant. Czajkowskiego. War. 1841 tom 1. W chwili obecnego ubóstwa literatury a osobliwie działu poezyi, zjawienie niniejszéj książki na niemałą zasługuje uwagę. Dalecy jesteśmy od przyznawania temu zbiorowi wysokiéj, bezwzględnéj wartości, od porównania tych tworów z tworami mistrzów Poezyi, bo jeśli wiele miejsc błyszczy tu mocą, wiele też słabych napotykamy. Sama

dykcya biblijna w wielu miejscach jako ozdoba użyta nieraz szpeci przesadą poezye A. Czajkowskiego.— Dając to krótkie o jego poezyi zdanie, nie ubliżamy bynajmniej zdolnościom autora — prorokami być nie chcemy — z serca tylko życzemy by największych zdolności każdemu u nas piszącemu. — Między innémi podobał się nam wiersz *Na dzień zmartwychwstania Pańskiego*, równie prostotą i mocą myśli jak zewnętrznem obrobieniem; wiersz ten zamieszczamy jako próbę.

Minął dzień długi, żałobny Sabbatu;
A mdłe promyki wstającego słońca.
W przejrzystych chmurach łamiąc się bez końca,
Jaskrawym wschodem zamignęły światu.
Ziemia pogodna w uroczém natchnieniu
Wonnością pienie puściła po pieniu,
I była jako Chrystus w tej godzinie,
Gdy chleb rozdawał, krew uświęcił w winie;
A niebo było jako pokutnica,
Której wstyd blade zarumienił lica,
A wielkie oczy błękitne, urocze,
Perłami rosy, niby łzami skruchy;
Zwilżyły ziemię — nim słońca warkocze
Z kropel otarły wonnych kwiatów puchy.

I było głucho — w Jeruzalem spali,
Lud i kapłani i Faryzeusze —
A spali twardo, jak twarde ich dusze,
I w snach Chrystusa jeszcze krzyżowali,

Co raz to nowem straszniejszem cierpieniem,
Bo czarną myślą i czarnem sumieniem.

I było głucho — ale coś szeleści,
I coś się miga na Kalwaryi górze —
To jakby ptaszek szybujący w chmurze,
Tak z lekka płynie cudny kształt niewieści,
To jak ogrodów azjatyckich róże,
Taki się szkarłat na jej licach mieści,
To jak lilii bieluchne zawoje,
Śniczne jej piersi, i śniczne jej stroje.

Ale jej cudne lazurowe oczy,
Błysnęły łzami — tym skruchy obrazem;
A gładkie czoło z pod złotych warkoczy
Bije żałoby ponurym wyrazem:
Ona tak piękna, tak posępna razem,
Jak babilońska wierzba gdy roztoczy,
W koło płaczące gałązki ku ziemi,
I swoją kibić wzniesie między niemi.

I szła ku grocie — a za nią powoli,
Dążyli męże. Jeden starszy laty,
Schyliwszy głowę, rzucał wzrok sokoli,
Na wonne ziemi palestyńskiej kwiaty,
Na wrzące piaski, i dzikich skał szmaty.
Lecz z bladej twarzy smętnego kobierca (!?)
Łatwo odgadnąć, że ten nieszczęśliwy
Patrzał jak ciemny na te wszystkie dziwy
I tylko widział żałość swego serca.

Drugi szedł przy nim, a ledwo puch młody,
Posypał jego młodzieńcze jagody,
Gdy mu już z oka zamglonego łzami,
Wygląda rozum męzki i dojrzały;
Bo w jego czaszce nie wiatry swistały,
Lecz pająk myśli dumania siatkami,
Łowi pojęcia, goni za prawdami.

I szli w milczeniu — a ścieszka ich kręta,
Wiodła do groty — oni nieśli dzbany,
Drogich olejków balsamicznéj woni,
Aby je rozlać na umarłej skroni,
By niemi ciężkie ponamaszczać rany,
Bo mocny zapach w grobowcu rozlany,
Ciało od skazy i zepsucia chroni,
Rzekłbyś, że wonią ową duszą kwiatów,
Żyje umarły, wśród podziemnych światów,
Jak żyją pieśnią tą duszą stworzenia,
Oddawna zmarłe wieki i zdarzenia.

I już stanęli i wytknęli głowy,
Naprzód z podziwem, bo z groty sklepienia,
Był odwalony wielki głaz grobowy,
A wśród pieczary szarawego cienia,
Swiecił się tylko płat biały, szeroki,
Który obwijał dawniéj Pańskie zwłoki.
Lecz ciało znikło — męże się zdumieli,
Długo płakali cudu nie pojęli,
I już do domu powracali smutni,
Myśląc że ciało Rzymianie okrutni
Lub chytrzy żydzi nocą z grobu wzięli.

Lecz Magdalena z nadziemskiém natchnieniem,
Dumając, klęczy nad groty sklepieniem,

I czegoś czeka, i do grobu skłania
Białe swe czoło aż złotym promieniem,
Że śmiertelnego Chrystusa posłania,
Błysły dwa duchy anielskiém spojrzeniem,
I oba takie podniosły wołania:
«Niewiasto nie płacz, lecz podźwignij ducha,
A ujrzysz Boga, a Bóg cię wysłucha!»
I wnet ją zapał ogarnął proroczy;
I jasne kręgiem zatoczyła oczy,
I z piersi biciem w radosnem weselu,
Pojęła wielkie zmartwychwstanie Pana,
I święte jego ściskała kolana,
I powtarzała «witaj Zbawicielu!»
A Chrystus wyrzekł «witaj mi zbawiona!»

Piśmiennictwo Krajowe Nr. 9, za niém Gazeta Codzienna i Przegląd Warszawski, umieszczając wiadomość o wychodzeniu pamiętnika Nadwiślanin widać mylnie uwiadomione, mianowały mnie redaktorem wspomnionego pisma. Z początku, również jak Redakcya Nadwiślanina, nie zwróciłem na to uwagi, dziś jednak nie chcąc aby objawiane w tym Pamiętniku zdania, za moje lub zgodne z mojém zdaniem uważano, oświadczam, że jakkolwiek ze względu na osobiste stosunki dopomogłem Redakcyi jego w ułożeniu planu i wydania 1 zeszytu, redaktorem ani spółpracownikiem nie jestem.

Roman Zmorski.

POEZYA.

ROSKOSZ I BOLEŚĆ.

Gdy matka Boleść leżała w połogu.
Padł strach na ludzi, jakie pocznie dzicie?
Wtém się zlitować podobało Bogu,
Z matki Boleści Roskosz wzięła życie.
By razem ludzi przywiązać do ziemi,
I z prochu dźwigać ku niebu lot ducha,
Bóg je, splatając śluby wzajemnemi
Dał za ogniwa do życia łańcucha. —

Stąd łzy i śmiechy, w familijne związki
Weszły naprzemian z Boleścią, Roskoszą:
Te z drzewa życia dwie bliźnie gałązki,
Słodki a gorzki owoc dla nas noszą.

I ten opatrzny łańcuch pokrewieństwa.
Cwicząc nas troską, lub pieszcząc nadzieją,
Wciąż między ludzi rozdaje koleją,
Korony szczęścia—i palmy męczeństwa. —

Julian Korsak.

DO WISŁY.

Wisło! — kwieciem i perły ozdobna dziewico,
Siostro myśli i uczuć, matko!—piastunico!—
Lubię szumy twej fali: — gdy rankiem majowym,
Ciepłym tchnieniem owiana, słodkim szmerem brzmiąca,
Srebrną piersią swawolisz z twoim brzegiem płowym;
To jakiś żal dziecięcy, łza cicho ciekąca,
Poi duszę — dla ciebie niby w szczodrej dani,
Cudne kwiaty Mazowsza, złotobrzeżne zioła,
Skłaniają promieniste woniejące czoła.
Wisło! — kochanko morza, wielowładna pani,
Lubię ciebie, twe wody, choć czasem szalona,
Rozkuwszy martwych lodów niewolnicze pęta,
Zakipisz mętną falą, z rozprzęgłego łona
Wylewasz wód strumienie, niby pierś ściśnięta,
Co pragnąc chwili ulgi za męczarnie lata,
Potok gorzkich wyrazów wyrzuca dla świata,
Niedobra — czyż nie lepiej krzepić różę zbladłą,

Na którą skrawe słońce tysiąc ogni ciska,
Czyż nie lepiej w głębinie własnego łożyska,
Młodym licom Mazurek służyć za zwierciadło,
I w ruchomym krysztale giętką łamać postać,
I nótą tęsknéj fali westchnienie wydostać.

Lubie cię, kiedy głuchym przeciągłym szemraniem,
Twe łono do cichego kołyszesz noclegu,
Kiedy słońce cię wita, gdy jasnym zaraniem,
Wartkie szybują łodzie, i mieszkaniec brzegu
Nóci dumkę żałosną: bo ta pierś prostacza,
Twoich wód nieskończonych śmiałego tułacza,
Oddycha jasnym niebem, i z żywéj przyrody,
Czerpie życia twardego dziewicze zarody.

Lubięć w ciszy wieczora, gdy blaskiem purpury,
Zapadłe igra słońce, mżą do koła cienie,
Po niebieskiej przestrzeni szare gonią chmury,
I tęskliwe,— ponure zaléga milczenie;
I niby oderwane z niebieskiego szczytu,
Zeszły gwiazdy,— spadł księżyc,— i w ruchoméj fali,
Srebrnym trzęsie obliczem, operla, kryształi,
Farbą niebios odbity ocean błękitu.

I cicho — pusto — niemo — ja nad twoim brzegiem,
Marzę uczuć tysiącem, i długim szeregiem,
Dziwacze plącze myśli,— fale słabo dyszą,
Ciało znika, myśl krąży, marzenia kołyszą,
Mżą gwiazdy, księżyc świeci, w okoł głucho—ciemno,
I dwa nieba— dwa światy, podemną — nademną.—

Seweryn Filleborn.

W IMIONNIKU.

Jest przysłowie dawne,
W całej Polsce sławne:
„Karczma bez podsienia,
Człowiek bez sumienia,
Bez kozery karta,
Bez klinów koszula,
I diabła niewarta
Jak naród bez króla.” —
Gdyby dzisiaj ożył,
Ten co gadkę złożył,
Pewnieby dołożył:
Niechaj diabeł bierze,
Przyjaźń na papierze. —

Wincenty Pol.

* * *

Czy widziałeś te osty, co na gruzach rosną,
Dzikie, kolcami zbrojne, bez kwiatów, bez woni,
Ukryte pod sklepieniem nie cieszą się wiosną,
Dość że ich wiatr nie łamie, mur cieniem osłoni,
Tak rosną, bez powabu, bez woni i kwiatu,
Jak ludzie bez uczucia, myśli i rozumu,
A czyż świat pragnie więcéj? cóż potrzeba światu,
Tylko liczby bez węzła, świecideł i tłumu,
Ja lepiéj świat widziałem, bo nie znałem świata,
Nie znałem przeciwności ani łez niedoli,
Dziś znam — i tak mi przykrą dni moich utrata,
Jak cierpiącemu w duszy godzina swawoli.

I Ludzie mnie widzieli, widzieli człowiekiem,
Spuszczali oczy w ziemię, jak łotr na szafocie,
Czoło schańbione zbrodnią nie śmie odkryć cnocie,
Doświadczenie mnie wzmogło, wykształciło z wiekiem,
I tak pomiędzy témi co mniéj jak ja czuli,
Co serce zimnym lodem na wieki osnuli,
Ja jeden byłem człowiekiem.

Czy widzisz ten krzak róży — pierwiastki rozwicia,
Już dają się spostrzegać, już zapach ulata,
Zerwij ją — Cóż to płaczesz? tak, to kolce życia,
Chciałeś pieścić, a płaczesz; to miłość dla świata,
Chcę patrzeć, patrzeć tylko, ale Boga wzrokiem,
Przenikać serca myślą, a działania okiem,

Niech wiedzą komu żyłem, na co świat oglądam,
Pragnę tylko miłości — miłości bez końca,
Tak jak robactwo ziemne pragnie wschodu słońca,
Przyznajcie mi, przyznajcie, wszak nie wiele żądam.—

Lenartowicz.

DWA GŁOSY.

1.

Gdy obce strony napotka zrenica,
Chociaż pokoju mgła serce osłoni,
Tę mgłę rozpędzi pamięci gromnica,
I za przeszłością oko łzę uroni;

Gorzkie wspomnienia ze snu cię ocucą,
Wiosna co innym brzmiała szczęścia chwilą,
I ptaki, co jéj tak radośnie kwilą,
Tobie żałobną piosenkę zanucą.

2.

Z puharem w ręku bodaj żyć wesoło,
Uśmiech kochanki zgładzi smętne czoło,
Niech żyje miłość!—jéj toast spełnijmy,

Uderzmy w puhary,
Niechaj w nas miłość, my w miłości żyjmy,
A zginą życia ciężary.

1.

Wiosenne kwiaty skwarem lata spłoną;
Miłość ognistym tchem serce owładnie,
I jak wąż płacąc wskrzeszające łono,
Trującym jadem ugodzi je zdradnie.

Strzeż się anioła ziemiańskiego wzroku,
Jeżeli nie chcesz byś w młodzieńczéj dobie,
Na twoich marzeń i miłości grobie,
Płakał po życia zagasłym uroku.

2.

Brzękiem puharów rosproszą się troski,
Zwątlone serca wzmocni nektar boski,
Żyj nam wesołość!—jéj toast spełnijmy,
Uderzmy w puhary,
Niechaj w nas roskosz, my w roskoszy żyjmy,
A zginą życia ciężary.

1.

Roskosz? to hydra wyuzdanéj chuci,
W nieugaszoném pragnieniu Tantala,
Czas, zdrowie, rozum, w swoją paszczę rzuci,
I chłonąc wszystko, twą żądzę zapala.

I wszystko strawi; i niemo, bezwładnie
Obłąka myśli, marzenia rozproszy,
I pośród kwiatów zbrudzonéj roskoszy,
Jak zwodna mara zniszczeje, przepadnie.

2.

Gdy zbytnia roskosz uczucie ostudzi.
Do żadnych cierpień sumienia nie zbudzi,
Swięć się nieczułość!—jéj toast spełnijmy,
Uderzmy w puhary,
Święć się nieczułość! nieczułością żyjmy,
A zginą życia ciężary.

Olizarowski.

DUMANIE.

Zapadła cisza, — głucho na ziemi,
Wszystko samotne łzawemu oku,
Gwiazdy oczyma patrzą mdławemi,
I blady księżyc duma w obłoku.

Myśl po krainie marzenia wzlata,
A w biednéj myśli tak jak w naturze,
Razem złączona z harmoniją świata,
Gdzieś na wędrownéj żegluje chmurze.

O gdybym skrzydła ptaszyny miała,
Jakżebym chyżo loty śmiałemi,
Do jasnych niebios polecić chciała:
Jak dawniéj sercem, do szczęścia ziemi.

Bo miło w zgasłym życia uroku,
Witać świat duchów piersi całemi,
Znać serce w mowie, i myśli w oku,
I jak o grobie — marzyć o ziemi.

Bo szczęście ziemi,— kwiatek wiosenny,
Ledwo pokaże główkę na świecie,
Ledwo rozwinie pączek promienny,
Szron go powarzy, wiatr listki zmiecie.

I pocóż szczęścia szukać u ludzi?
Gdy ledwo złotym mignie promieniem,
Ledwo tęczowym błyśnie marzeniem,
Tylko wspomnienie żalu obudzi.

I po cóż serce chować dla ludzi?
Gdy ledwo jedno czucie uroni,
Ledwo mu szczęścia piosnka zadzwoni,
Z roskosznych marzeń świat je obudzi.

Sanowska.

———

* * *

Kiedy się tłumy zbiorą, i w podłym wykrzyku,
Rzucą na ciebie klątwę, obelgą obarczą,
Schyl czoło, jeśliś słaby nieszczęsny grzeszniku,
Bo ci w takiéj potrzebie twe siły nie starczą.
Lecz jeśli czujesz sercem żeś panem nad niemi,
Żeś więcéj wart od tłumu: pyszny występkami,
Zostań na wysokości, — pod twemi nogami,
Długo będą warczeli ci synowie ziemi;
Aż kiedy już poczują że głosu nie stało,
Że chcąc ciebie uniżyć to sił ich za mało,
To niepomny na przeszłość, w nowym, głupim błę-
dzie,
Tłum co tobą pogardzał, uwielbiać cię będzie.

K. B.

FANTAZYA.

Ciemno w lesie — milczą błonia,
Tylko wiatr po drzewach swiszczy,
Słychać z dala tentent konia,
I stalista zbroja błyszczy:

«O śpiesz koniu, śpiesz mój kary,
Stoi domek tam z daleka,
W domku miła mi dziewczyna,
Ulubiona tęskna czeka.»
I ostrogą konia wspina,
I przez pola i przez jary,
Pędzi wiatrem rumak kary.

Tam przy drodze na uboczy,
Kurchan z ziemi usypany,
Nad kurchanem krzyż drewniany,
A pod krzyżem cóś bieleje,
Któż tam stoi z bladą twarzą?
Jak dwa węgle dzikie oczy,
Dzikiém blaskiem w głowie żarzą,
I skrwawioną płachtą wieje,
I ostremi kłami zgrzyta,
I powietrze dłonią chwyta,
A koń parsknął, w bok uskoczy,
Ale jezdziec nie strwożony,
Wbił ostrogi w bok spieniony,
I przez pola i przez jary,
Znowu pognał rumak kary.

Na zakręcie między knieją,
Jakież światła tam jaśnieją?
Czy to wilcze oko świeci,
Z tyłu, z przodu, w lewo, w prawo,
Bure suną się wilczyska,

I jeden konia już z bliska,
Już go chwyta, już dopada,
Za nim cała tuż gromada,
Rozdziawiwszy paszcze leci,
Jezdziec konia spiął ostrogą,
Co tchu, co sił, rumak skoczy,
Ogniem błyszczą szklane oczy,
Ryje ziemię wartką nogą,
I najeża włosy grzywy.
Huk się rozległ—wilk nie żywy,
A przez pola a przez jary,
Znowu pognał rumak kary.

Lecz pośród nocnego cienia,
Mignęła jasność śród drzew,
Ponurą ciszę milczenia,
Melodyjny przerwał śpiew,
Blask mocniejszy razi oczy,
Rumak wstrząsł się, parsknął, rży,
A głos miły i uroczy,
Coraz mocniej w uszach brzmi.
W czarodziejskie koło,
Dziewic rój zebrany,
Płocho i wesoło,
Skoczne wiąże tany;
Zasłony ich białe,
Z wiatrami igrają,
Ledwie nóżki małe,
Ziemi dotykają.

I tłum stanął cały,
Białe wzniósł ramiona,
Jak gdyby do łona,
Przytulić go chciały.
Lecz w nim dusza nie zawrzała,
Młoda krew nie zakipiała,
I przez pola i przez jary,
Znowu pognał rumak kary.

Księżyc wyjrzał z po za chmury,
Szarym okrył się obłokiem,
I bladawym trupim wzrokiem,
Patrzył smutny i ponury.
Tam przy drodze nad parowem,
Cóś się mknęło, cóś zadzwoni,
Niby księżyc światłem płowém,
Po lustrzanéj igra broni,
I z za krzaka jasność błysła,
Grzmot zahuczał, kula świsła,
A przez pola przez obszary,
Gnał samotny rumak kary.

Ciemno w lesie milczą błonia,
Tylko wiatr po drzewach goni,
Słychać zdala tentent konia,
I podkowa głucho dzwoni,

A tam w domku tam zdaleka,
Dziewcze z oczyma łzawemi,
Próżno ulubieńca czeka,
Co z dalekiéj wracał ziemi.

Wacław Szymanowski.

DO MYŚLI.

Myśli! ciebie puszczam gońcem,
Gdzie wieczorna zorza płonie,
Za zachodniém pośpiesz słońcem,
Ku rodzinnéj mojéj stronie.

Przeleć Ural, miń pustynię,
Szumną Wołgę, fale Oki,
Piękne wzgórza gdzie Dniepr płynie,
Gdzie Litwinów kraj szeroki.

Gdzie się ciągle przypomina,
Wśród kwiecistych marzeń wianka,

Ojciec stary — dom — rodzina,
Przyjaciele i kochanka.

I tam lataj, krąż do koła,
Każdy luby zwiedz zakątek,
I spojrz w serca — gdzie mnie woła,
Nieskończony świat pamiątek.

Gustaw Zieliński.

SZTUKA I ARTYŚCI.

Sztuka i Artyści, wyrazy, którym dziś świat Europa, my, wszystko nakoniec daje poklask uwielbienia, szczyt do którego wszystko się garnie, ozdoba którą każdy odziać się pragnie, istoty uprzywilejowane od natury, najdoskonalszy obraz człowieka stwórcy, tak w pismach tak w mowie cenimy sztukę i artystę, z temi wyobrażeniami dla nich jesteśmy w teoryi, ale czy tak jesteśmy w życiu w praktyce?

Byłem dni temu kilka u jednego z znajomych mojego Wuja, po części w interesach ważnych pieniężnych, po części ażeby mieć ten wielki a nader miły honor być w domu pana Kapitalisty, i to kapitalisty bogatego, po części też, że mnie sam prosił, ażebym bywał na jego zgromadzeniach familijnych we środę i przedstawił wszystkim jako młodzieńca pełnego nadziei, którym się on intere-

sował, i który w przeciągu miesiąca nauczył się pisać a majuskulam *secundum formam*, i wyskrobywać żyda z papieru tak zręcznie, że w miejscu skrobaném na nowo pisać można, bo trzeba wiedzieć, że był wielkim amatorem kaligrafii. Już to raz czwarty miałem to szczęście być przypuszczonym do pocałowania rączek saméj pani, znałem więc zwykłe w nich towarzystwo składające się z ośmiu osób, wszystkich kuzynów. Pierwsze miejsce w niém zajmował mój pan kapitalista człowiek lat 48; okrągły łysawy, czupurny, którego portret życie i charakter możnaby zamknąć w jedném kaligraficznie napisaném *a*; człowiek, który mnie polubił, gdyż szczególniéj piękny strych miałem przy literze *b*, i *s* z wielką zręcznością zakręcałem, i w skutek tego jak do tajemnic Izydy powoli, po stopniach przypuszczał mnie do sekretów kaligrafii, skrobania, pisania i t. d., który po 28 latach służby w kantorze cudzym, po wielu starannie napisanych arkuszach papieru osiągnął cel swoich życzeń, kapitał 60 tysięczny, którym własny Kantor założył. Żona jego kobieta mała, cienka, wyschła, o lat 10 młodsza od męża, wiecznie z okurzaczką w ręku utrzymywała, że cel życia naszego jest, ażeby nie pozwolić pyłkowi kurzu spocząć na sprzętach naszych, pomimo tego jednak z energicznych niekiedy wykrzykników poznałem, że ona była w domu głową, a sam pan — niczem. Oprócz nich ich braterstwo, ona miała sklep win-

ny gdzieś na starém mieście, on podobno był coś, niby pierwszy subjekt — i jeszcze jakaś para przyjaciół z miasta, których widziałem kilka razy. Z tych wszystkich ludzi rozumem dowcipem był najwyższy mój pan kapitalista: jego zdaniem było ich zdaniem, on opanował i rozrządzał ich głosem; on był dla nich jednostką wiedzy, mądrości i doskonałości, oni obsypywali go pochlebstwy, a on pomimo swojéj uznanéj wyższości, raczył się zniżyć do nich.

Lecz była tam jeszcze jedna para; żona, kobiéta jak to zowią *tęga*, nie wysoka ale za to szeroka, w wyrażeniach śmiała, śmiejąca się ze swego własnego dowcipu, zabierała zawsze głos przed wszystkiemi gdy pan kapitalista nie mówił, była ona jego siostra, nikt nigdy nieśmiał jéj nic odpowiedzieć, choć jéj ucinek nie kąsał ale gryzł, jéj żart był prostą obelgą, ale niby wetując sobie to poniżenie całe towarzystwo głośno powstawało przeciw jéj mężowi. Zawsze ilekroć tam byłem, chór żartów jedne nad drugie bardziéj płaskich i głupich rzucany był na tego, który znosił to z zimną cierpliwością zwykle nieodpowiadając. Dziwiło mnie to czemu ten człowiek nie odpowiada, czemu wprost nie wyrzuci im ich głupstwa, w końcu osądziłem, że to cierpliwość owcza, że to jest ośle lenistwo, lub głupstwo.

A jednakże w jego twarzy nic nie było takiego. niebieskie oko ogniem błyskało, ciemno, bląd włe

sy cokolwiek w nieładzie rozrucone spadały na czoło czyste i wzniosłe, usta takie, z jakiemi malują Woltera, Goete, cienkie przycięte cokolwiek, wzrost nie wysoki, postać cokolwiek pochyła, może od wieku, mógł mieć lat 35, to wszystko nie znaczy człowieka z oślim pojęciem, owczą wyobraźnią. Siedział on zwykle w kącie pod oknem i bawił się z małemi dziećmi, lub milczał. Ostatnią razą gdym przyszedł, zastałem całe towarzystwo grające w karty w drugim pokoju. On siedział w pierwszym, Józefie zawołał doń pan kapitalista chodź, będziesz karty memu dziadkowi przewracał. Ej daj mu pokój odpowiedziała żona jego, on nawet i do tego nie zdolny, co niezdolny, *incapax* powtórzył znajomy z miasta, niezdolny, i całe towarzystwo w śmiech, i powtarzało niezdolny, i śmiało się do rospuku, nuż massa śmiechów pytań i żartów, a ja niewiem czy dla tego, że on był prześladowany przez młodzieńczą sympatią, czy dla tego, że ten śmiech taki, z tak nikczemnego żartu mnie rozgniewał, poszedłem ku niemu.

Siedział przy fortepianie trzymał w ręku nóty, były to waryacye z tema Montechi i Capuletti, nieuważał wcale na śmiechy które koło niego panowały. Pan zna tę muzykę spytałem go — Tak jest panie — Jakież zdanie pańskie o niej. Spojrzał na mnie — kawałek ten jest łatwy, i ma w sobie wiele czucia mówiłem dalej. Palce jego wówczas cho-

dziły po klawiszach i wydobyły parę melodyjnych akordów. — Proszę cię odezwał się głos pani żony, jeżeli chcesz grać to sobie zamknij przynajmniéj drzwi to mi przeszkadza rachować takty.—Wstałem i zamknąłem.— Pan grasz rzekłem, jeżeli wola, chciéj pan zrobić mi tę łaskę i zagraj mały kawałek z téj kompozycyi; podawałem mu jakieś rondo Chopena. Z chęcią rzekł mi uprzejmie, fortepian to moje najmilsze towarzystwo, lubię kiedy do mnie mówi swoją harmonią, nie cierpię, kiedy przy mnie stoi cicho, jak gość źle przyjęty od gospodarza.

Jak grał co grał niewiem—wiem, że mi łza cisnęła się do oka, — skończył, dziękowałem mu konwencyonalnie ukłonem, i z serca ściśnieniem ręki. Panie rzekłem, gra pańska zrobiła na mnie wielkie wrażenie, moje oko jeszcze mokre, ja inszéj pochwały dać nie mogę.— Thalberg mnie tak nie wzruszył, Olebula nie zrozumiałem, w tém momencie czuję się wyższym i lepszym czuję potęgę sztuki.— Tak panie, sztuka jest wielką i potężną, ale mało ludzi dotąd zna tę jéj potęgę. Bo dziś mówił daléj, a oko jego mocniéj błyszczało jak uważają sztukę, z wzruszenia pańskiego widzę, że pan mnie pojmujesz i czujesz. Dziś zdaje się wszystkim, że sztuka pod względem hołdów, które jéj są winne, stoi najwyżéj, a te hołdy, te grzeczności panie, któremi dziś sztukę obsypują, one Panie są kłamliwe. Zdziwiły mię te słowa, sztuka źle

u nas przyjmowana, ależ panie, Thalberg; Liszt, Vernet de Laroche a Olebul — wszak wszyscy i los swój już zapewnili i hołd który im oddają, to nie hołd, to uwielbienie.

Panie przyjęcie które u nas artyści doznają z pozoru pochlebne i zaspakajające, ale w rzeczy — któż ich przyjmuje z okrzykami, najwyższa część społeczeństwa i gawiedź średnia—pierwsi uważają ich za sposób nbicia czasu, za bawidełko które broni czasem od nudów, od spleenu, które rzucić można gdy już nie bawi. W muzyce lubią melodją, w malarstwie grę kolorów, tak jak łubią zapach heliotropu w zapachu włosów i sukni. Spojrzy i sądzi, bo on pan, bo on zapłacił, lub zapłaci. — Rozbiera krytykuje, bo to mu daje przedmiot do rozmowy, gdy inne fraszki już się wyczerpną. — Żaden nie wejdzie w rzecz, nie roztrząśnie, że w najlżejszém utworze sztuki jest myśl, która poprzedziła wykonanie — a w wykonaniu jeszcze wieleż myśli być musi, to mi się podoba lub nie, oto sąd który wyższe klassy wydają o sztuce; niekiedy jeszcze upstrzony technicznemi terminami. Zapłacę, oto najwyższy stopień pochwały, jakby sztuka zapłaconą być mogła. A widząc, żem zrobił giest, jakby słowa jego nie zgodne były z moim przekonaniem — tak panie, sztuka jest nie do opłacenia — Artysta może być zapłacony bo człowiek, bo potrzebuje, więc odda za lichy grosz dziecko swéj duszy, w którą za-

warł część siebie a część najlepszą. A dusza panie ta część nie materyalna utworu sztuki, także duszą winna być wynadgrodzona, uwielbieniem, lub szacunkiem — a jednak cóż jest artysta cóż jest dla nich mistrz. Zdaje im się, że Canowa dla tego się urodził, ażeby stawiać nagrobki. Wernet, Rafael gdyby żyli powinni się ubiegać z tapicerem ich pokoju o pierwszeństwo, muzyk grać przy obiedzie dla wesołych myśli, dla lepszéj konkokcyi żołądka. — Poeta pisarz to zwierz na którego wolno rzucać przycinki jeśli nie sławny — a sprowadzać go do siebie, niby honorowego członka jakiéj menażeryi, jeśli Europa wie o nim, wszak zaproszony na obiad Herder musiał się silić na koncepta pod klątwą uchodzenia za głupiego, Herder, który na świat działa, który sam jest potęgą. Tu zamilkł snać zmordowany wzruszeniem i długą mową. Poznałem tego człowieka i uczułem, jak dusza podobnie czująca cierpieć musi zawarta w skorupie takiego życia i towarzystwa, w którém go widziałem. I pomimo wzrosłych zemną fałszywych mniemań o sztuce, pomimo zarozumiałości, miłości własnéj, czułem, że człowiek ten, tak pogardzony tak zniknczemniony był wyższy od wielu, wielu, którzy się wyższemi nad niego sądzili, czułem chęć być artystą, i pragnąłem coś stworzyć i duchem wznieść się wysoko: w tém momencie jedno działaniem sztuki ceniłem wyżéj jak pieniądze jak

honory nawet. A nie znając tego przeczuwałem poniżenie, w którém wyższe klassy społeczeństwa mają sztukę i artystów. Panie rzekłem przerywając milczenie a średnia klassa?— średnia klassa u nas i wszędzie nader rozmaita, to mozajka ale bez harmonii. Część garnie się do wyższych i ślepo małpuje ich powierzchowności, nie umiejąc naśladować wewnętrznych przymiotów, ci tak postępują jak ich oryginały, za niemi idą ci, u których uczucia zerem, pieniądz wszystkiem na sztukę nie patrzą.— U nich nie ma sztuki nad kucharską. Cena artysty waży się według pieniędzy które wydać może. Za nimi dopiero idzie gmin, ten ocenia sztukę podziwem i milczeniem jeżeli ją zrozumieć może, a jednak jego sąd jest sądem prawdy, jego zdanie jego pochwała jest prawdziwą, godną sztuki. Kiedy lud Ateński ciągnął wóz Apellesa lub ubóstwiał ody Pindara,— a Tyrteusz wzbudzał męztwo Sparty — wówczas sztuka była prawdziwie oceniona nadgrodzona. A dziś, dziś panie czém nadgradzają sztukę, zimnym oklaskiem wymuszonym dziś danym, dziś zapomnianym, dziś trzeba śmierci artysty ażeby sztuka otrzymała godną siebie nadgrodę którą starożytni za życia dawali. Lecz przyjdzie czas mówił z coraz większym zapałem, w którym poznają to co dziś przeczuwają, że sztuki cel nie zabawa, że opatrzność postawiła ją dla szczęścia naszego, dla złagodzenia i wykształcenia nas, dla wydania dla

zmysłów naszych, własnych tworów, tworów nie tak doskonałych, jak stwórcy, ale exystujących w duszy naszéj — tworów harmonii niższéj od harmonii nieskończonéj, bo pochodzących z duszy skończonéj, poznają że myśl sztuki jest myślą proroczą, a wówczas — wówczas.... Prosimy pana do herbaty zawołał mnie pan domu, lepiéj siądz z nami będziesz pan grał na piątego w wista.

Musiałeś się też pan znudzić porządnie.— Czyście tak długo gawędzili jak Wisłę zapalić rzekł pan sąsiad z miasta; i znowu śmiech żarty wesołość, — Panie, a dziś czém jest sztuka? zapytałem obracając się do niego.— Sztuka jest i będzie zawsze cząstką bóstwa— A artyści?.... Gmin uważa ich za rzemieślników.

J. Kg.

Tam znajdziesz zbroje dawne co zardzałe leżą,
I kości co nie wiedzieć do kogo należą.
MARJA.

Długo, długo nasze łany pragnęły wieszcza jak spieczona rola deszczu, długo długo nam go obiecywali fałszywi prorocy krytyki, znaleźli się nawet tacy, co choć go nie dali mówili głośno, myśmy ludzie, myśmy poeci, a mówili stugębną sławą, a zakrzyczeli kto się sprzeciwił; więc wierzono i chwalono, ale choć każdy chwalił, nikt nie czuł. Aż zjawił się wieszcz, wzniósł głos do góry i zaśpiewał hymn, hymn wielki i potężny, rozwinął kwiat uczuć jak deszcz który przerwie posuchę, i nakarmił nas roskoszą czystej, prawej miłości, na której wspomnienie drży serce; a jakżeśmy go przyjęli? Żył, a fałszywi prorocy krytyki ukamienowali umysł jego pociskami złości, serce zaprawili goryczą ironii. A za onymi poszedł świat cały i urągał mu i płacił w twarz szyderstwem, a ci

co go czuli co rozumieli, a było ich mało, milczeli, bo równie jak on byli przejęci goryczą i wzgardą, — nawet po śmierci zamiast grobowego piasku cisnęli mu śmiech szyderstwa, lecz on już był spokojny: tam gdzie poszedł niedochodzi głos zazdrości, głos zawiści, i długo długo milczenie było o nim, jak na tem miejscu gdzie ciało jego spoczywa; aż pamięć o nim obudził głos potężny, głos, co jak huk gromu Pańskiego rozległ się od końca do końca i dziś każdy go wielbi, jak kiedyś każdy mu urągał a imie jego, a sława jego, jak sława mędrca wyrwała się z ziemi i wielkim słupem wzbiła się ku niebu, padła cieniem na świat, a kto kocha, kto myśli, kto czuje, pod jéj cieniem szuka ochłody od skwaru nienawiści świata, i w tym cieniu marzy, bo tam wzrasta wyżéj, bo ten wskazuje niebo palcem wiary, a miłość znajdziesz' w sercu kiedy nadzieja wiara z tobą— o tak! wielki jest pomnik sławy twojéj autorze *Maryi* *) wznieśliśmy go własnym tchnieniem, ozdobili wspomnieniami, ubrali kwiatem żałości nad tobą, i kwiatem wesela nad dziełem twoim, a na jego czele jak trzy symbola wiary, nadziei, miłości, jaśnieje *Miecznik*, *Marya i Wacław.*

Za słaby jest głos mój by zwiększyć twą sławę— lecz ile wody w starym Dnieprze płynie, ile prochu na stepach się wala, i ile kiedyś ludzi koczo-

*) Antoni Malczewski urodził się w Radziwiłowie w r. 1798, umarł w Warszawie 1827 r.

wało na rozłogach bujnéj Ukrainy, tyle jest we mnie w sercu i głowie uczucia dla ciebie, i w sercu każdego kto ciebie pojąć i rozumieć zdolny. Lecz kiedy tyle sławy oddajem twemu imieniu, czemuż popioły zapomniane leżą? czemu świat cały koło nich przechodzi, a nikt nie westchnie, nie poczuje obecności ducha twojego, czemu nikt nie wie, że u progu pieczar *) kilka kroków na lewo leżą twe kości w proch już zmienione, czemu nikt nie powie przechodząc mimo, tu leży poeta, wielki, tu leży *Malczewski*! czemu? bo świat jest taki, choćbyś mu duszę swoją dał w ofierze, choćbyś własne szczęście łożył, był wielkim myślą, pałał miłością serca prawego........ on cię zapomni.

W. Z.

**) Na smętarzu w Powązkach.

HISTORJA PANA BARTOSZA.

(z prawdziwego opowiadania)

Jak mnie jegomość widzi mam już lat z osiemdziesiąt, bo nie wiem dobrze kiedym się rodził. Najdawniejsze co mogę zapamiętać była branka żołnierzy dla Cesarza, już to Austryjak siedział w naszéj włości pod Duklą, kędy ojciec i matka z gruntu trzy dni na tydzień pańszczyzny odrabiali, otóż pomnę kiedy nasze chłopaki kycali z mostu w bełkowisko pod młynem, tak to się lękało tego niemieckiego munduru. Ojciec za młodu odumarł, a niedługo i matkę pochowałem. Krewniaki pokłócili się na pogrzebie, do którego z nich pójdę służyć, tak mnie wszyscy kochali, aż wreście wziął do siebie rodzony stryj Mateusz, świeć Panie nad duszą jego, poczciwy to był gospodarz; sprawił mi ładną sukmankę, nowe buty, hołosznie, parciankę, i kapelusz od święta. Otóż nie chwa-

lęcy się najładniéj wyglądałem z młodzieży, dziewczęta chciały zwabić na męża, ale ja jakoś miałem wstręt do tego świętego stanu.

Razu jednego spotkawszy się z księdzem plebanem, ni z tego ni z owego gadu gadu i namówił do siebie w służbę za pogonicza. Najprzódy, ponieważ i on i ja mieliśmy jedno nazwisko, przeto powiedział, iż odtąd nie będę się już nazywać Urbańskim ale Urbaniukiem. A były tam tęgie dziwki, jedna z nich Katarzyna najwięcéj przypadła człowiekowi do serca, śliczne bo też to dziewcze, niby mleko z burakiem, a ślipkami jak mrugła, to już Bartoś nie pamiętał o świecie, że się i o świętém bydełku zapomniało, i nieraz dobrodziéj dobrze targał za to po uszach. Koniec końcem pokochałem Kaśkę jak kot zagorzały, i ona szalała za mną, prosiłem dobrodzieja, ażeby nas pożenił.

A, ty pogański synu! krzyknął on wtedy z gniewem; patrzcie no go, już mu się żonki zachciwa; a wiesz ty chamie, że Kaśka jest moją poddanką? służcie jeszcze po lat pięć, to wam sprawię wesele, inaczéj ani myśl głupcze!

Porzuciłem więc jegomościa i przyjąłem służbę u pana ekonoma, bo on darł koty z proboszczem i mógłby mi dopomódz. Inaczéj się przecież stało. Na moje nieszczęście czy szczęście, zobaczywszy mię wkrótce pan Rogalski marszałek naszego dziedzica, zabrał gwałtem do dworu.

11*

Dobra to rzecz służyć u takiego wielkiego pana, jakim był pan Siemiński — toć on proszę jegomości z cesarskim królem w karty grywał. Tylko nas bardzoch *kwardo* trzymano — pamiętam gdy raz w nocy wymknęliśmy się na muzykę do miasta, oj nazajutrz *boćkowski* był w robocie. Wiele się rzeczy widziało i słyszało na tym dworze, ale że to człowiek był zawsze głupi, nie taki jak dziś, to i niczego nie zachował w pamięci. Umarł i pan Siemiński, a ja przyjąłem służbę u jego dzierżawcy.

Oj, dopierom się to dostał w prawdziwy czyściec—pani jak pani, ale ten stary gdyracz poczciwego słowa nie dał—jużci on nie bił prawda, aleć zapiekł nieraz by ogniem człowiekowi—a nigdy nie wołał po imieniu tylko świstał niby na psa, to też wreście jednego dnia kinąłęm przed nim starego kundla, mówiąc: oto masz jegomość kogoś wołać, niechaj mu za mnie służy, bo moja matka nie była suką, a ojciec poczciwy chrześcijanin i ja nie jestem psem. Dopiero się pomiarkował i nuż przepraszać, nadeszła także sama i zostałem się jeszcze u nich. Poganin to był zawzięty—pamiętam, zbił on raz srodze ubogiego człowieka co z listem idąc tamtędy, ukopał trzy rzepy w jego ogrodzie. Alić we dwa tygodnie ukazała się na drzwiach karta na której stało: »biłeś mnie niegodziwy panie za trzy rzepy, będę ja ciebie trzy razy palił.« Schowało duraczysko

ze śmiechem tę kartę do kieszeni, oj, płakałci on za to krwawemi łzami potém — i raz, i drugi, i trzeci pogorzały mu wszystkie budynki jeno w koszuli z żonką uciekł, a ludęko święte zamiast coby miało ratować, to wołało jeszcze przy płomieniu: dobrze ci tak psi synu, nie będziesz więcéj krzywdził!

Już też trudno było wytrzymać, a lubo się zapomógł, i poprawił po téj nauce, przeciem ja go pokinął wyrzekając się nawet zasług. A miałem znajomych którzy mi dobrą służbę nastręczyli do nieboszczyka pana ***, i już więcéj nie pomyślałem o odprawie zostając przy nim i przy jego oto godnych dzieciach. Nie trza go już i chwalić, boś jegomość słyszał wszystko dokumentnie nie sto razy.

Nie brakło człowiekowi od tego czasu chleba Bogu dzięki, a i grosiwa ładnego się uzbierało porządném życiem i oszczędnością przy tak poczciwych i zamożnych ludziach — to pamięta jegomość, kiedy przed kilku laty dwóch chłopów skradło mie ze swawoli, a chociaż wszystkiego nie wzięli przecież nie jeden dukacik węgierski z najświętszą Panną przepadł w ich ręku, bo nawet przez zabawkę ciskali sobie w górę hultaje po łąkach moją pracą — nie mało też zabrano mi w rabunku, a wtenczas i mój zielony okuty kuferek z nowiuteńką liberją i koszulę z żabotami utraciłem — resztę co Bóg zachował, nauczony złością

ludzką, konserwuję gdzie można, w popiele, po drewutniach, w piwnicy.

Ale wróćmy się jeszcze, bo to na tém nie koniec— mój pan zmiarkowawszy żem wierny i dbały o jego pracę, wysłał mię z paniczami do Lwowa na akademję. Nasłuchałem się tam proszę jegomości dosyć jak się w domu uczyli: *byłem, byłeś, był, będę, będziesz, będzie; ja ty on; mój, moja, moje,* — jednem słowem żebych ja nie był takie głuptasisko, ot nauczyłoby się nie mało przy nich, i człowiek by potem mógł zostać albo ekonomem, albo bernadynem, jak to nie jeden zrobił.

Nie zawiodłem zaufania pańskiego, lecz na drugi rok tak mi się moi panicze rozpuścili, żem nie raz gorzko zapłakał. Chciał ich upominać derektor, ale jak go oni strząchnęli raz i drugi, to si wyrzekł i płaty i porzucił. Dowiedziawszy się wreście rodzic o swawoli, oddał ich do Francuza. Byłaż tam dopiero nauka, *monsie* i *monsie* że człowiek i słówka nie rozumiał, a niechnoby któren powiedział co po polsku, to zaraz za karę butelka dobrego wina na stole.

Nie skończyłbym i do jutra, gdybym chciał wszystko wygadać o nich, ale to inszą razą opowiem, tylko niechaj jegomość co tak lubisz ślęczyć w papierach wszystko to zapisuje, a byłaby z tego bardzoch gruba i mądra książka, i wszyscyby kupowali. Tymczasem opowiem co będzie można na

prędce, bo już drugi raz dzwonili do stołu. Odwiedziłem też proszę jegomości i panicza, moją kochankę Kaśkę Kowalczykównę w Magierowie — wszakże to ona jeszcze czekała na mnie — ale widać iż Bóg mi nie przeznaczył małżeństwa, jeździło się tam i drugi i trzeci raz, bo niedaleko miewałem z gościńca zbaczać, toż koniec końców nie będę w bawełnę obwijał. Alem ją poczciwie wynagrodził — kupiłem jéj krowę, parę cielaków, jupkę i suknię kandyburową; tak iż niedługo poszła za mąż, ażem się upił na weselu i wytańczył Mazura i Obertasa do woli.

Tegoż roku kupili państwo te oto dobra, a chociaż i za kordonem mieli piękny majątek, i nieboszczyk jeszcze cesarski król kochał samego jegomości, przecież sprowadziliśmy się do Polski. Dużo by to było opowiadać co zaszło od tego czasu — mój poczciwy pan umarł, pani w lat kilka poszła za mąż ale i ten w Karlsbadzie skonał na moich ręku. Jeden z paniczów poszedł do wojska, już także nie żyje — godna matka pomarła, dwaj drudzy podobnie się pożenili i pomarli. Jeden z nich wziął córkę zacnego ślachcica węgierskiego w Koszycach, ale jéj nie umiał szanować. Nawłóczył się też i człowiek z niemi nie mało — po Krakowie, po Warszawie, po Wiedniu, po Czechach i Węgrzech całych. Co też to się tam napatrzyło; w Szenbrun jest proszę jegomości szklanny pułap, po którym w wodzie żywe rybki pływają; widzia-

łem tam i trzewiki Maryi Terezy—albo ów pałac na wodzie, gdzie w sali siedzą ciągle przy stole niby żywe figury. Byłem też i na Szpicbergu. Widziałem świętego Jana Nepomucyna ciało w Pradze, a w Dukli książkę świętego Jana Kantego, przybitą w kościele na łańcuszku. Byłem i w Ołomuńcu i w Pest i w Budzie— jakie to tam wino tanie i dobre? a w Karlsbadzie gorąca woda, ażem raz spuchł cały od niéj napiwszy się wprzódy wódki. W Węgrzech co wieś stoi szubienica, za lada kradzież wieszają, raz powiesili cygana, nazajutrz przyszedł jego kamrat i z żalu sam się przy nim obwiesił. A nabożny to lud te Węgry, w Niedzielę niechcieli nam nawet koła ani sprzedać ani pożyczyć, mówiąc: wara Boże, wara chrań, na to sem święto jest, żeby sem świętował człowiek!»

Mój panie Bartłomieju; przerwałem poczciwemu staruszkowi, kiedy pogłaskując łysinę zdawał się kończyć opowiadanie swoje; toś tyle tylko widział słyszał i zrobił, żyjąc lat ośmdziesiąt! i włócząc się po tylu krajach?

«Oj jegomość, jegomość! odpowiedział mi znowu; widziało się i więcéj, ale gdzieżby człowiek wszystko spamiętał. Widziałem ja jeszcze we Lwowie księży Jezuitów! bywałem na ich kazaniach, słuchałem ich nauk, to mi to księża, nie tacy jak ten nasz *nic dobrego*. A co się tu wyrabiało w tym dworze—na téj oto bramie był zegar na wieży, ja sam z nieboszczykiem Antonim Dran-

ką którego portret w bawialnéj sali nad kominkiem państwo na pamiątkę powiesili, wybijałem młotkiem godziny, bo był troche popsuty. A jakie wyprawialiśmy luminacje kiedy książe Prefekt z departamentu przyjeżdżał, bo państwo chcieli tutaj miasto zakładać. Toż to cały ogród i wały były oświecone, a ja na wiwat w czasie wieczerzy, z armaty kamiennemi kulami strzelałem, aż mi w uszach potem szumiało.

Otóż się człowiek już zestarzał, chociaż zdrowie dzięki Bogu mam nie złe, i państwo uczciwie mie chowają, aleć to już niedługo rzeką: *pójdź kuba do wujta!....* och... pozwólcie panowie zapłakać staremu słudze!... toć mi się moja nieboszka młodsza pani przypomniała... i druga godna pani... wszyscy prawie odumarli, mamże ja sam już zostać? niech się dzieje jego wola święta. Ale pragnąłbym jeszcze widzieć naszych kochanych paniczów i panienki jak porosną kiedy ślub będą brali... daj Boże, jako ja im życzę wszystkiego dobra!

Otóż i trzeci raz już dzwonią na obiad; bardzoch proszę państwa, bo już waza na stole!.

S. Z. S.

MYŚLI I UWAGI.

I.

Nauki *antropologijne* mają na dobie poznanie człowieka. *Nosce te ipsum* jeszcze w zapadłej starożytności godłem było Filozofii. Ale dawni mędrcy, ubodzy w doświadczeniu ledwie się domyślali w poznawaniu człowieka, co dziś nagromadziły wieki rozpatrywania się w naturze, wieki rozmyślań i postrzeżeń. Mądrość najwyższa zaszczepiła w organizm materyjny zaród wyższego dążenia, a rozpromieniając materyę iskrą boskości i stapiając je z sobą tak, że najwprawniejsze oko związku dopatrzyć nie zdoła— chciała w nas wlać przekonanie, że szczęście człowieka wykwita z harmonijnej uprawy obojga.

Na posadzie więc fizyki *) rozwijać mamy wyższe zdolności ducha; nim jednak rozbadywać zaczniemy własności ciał nas otaczających — poznać ziemię powinniśmy. Co Jeografia przedstawia nam w przestrzeni, to Historya w czasie: z pierwszéj wyrastają nauki *przyrodzone*, z drugiéj *moralne* i *polityczne*.

II.

Mamy blisko 70 systemów wyjaśniających początek ziemi: liczba dostateczna, aby nie wierzyć żadnemu. A jednak musi być cóś stałego pośród przemienności rzeczy ludzkich. Jest to ziemia, a raczéj skorupa ziemi, którą potopy i wielkie wulkaniczne wybuchy uszkodziły tak, jak się uszkadza lakier sztucznego globu Jeografii.

Cóż więc jest stałego na ziemi? nic prócz ziemi saméj. Tu się rodzą i rozkwitają i więdną rośle, zwierzęta i mnogie pokolenia ludzi: umierają potém, by ustąpić miejsca nowym ludom, zwierzętom i roślom — a ziemia zawsze jedna, niezmierzona i jeden Duch świata.

Spojrzyj na ziemię, na ten smętarz, gdzie spoczywa zmarła starożytność; gdzie pod każdym

*) Rzecz z siebie jasna, że tu biorę wyraz *Fizyka* w znaczeniu najogólniejszém, obejmując nim: Geologią, Fizykę w znaczeniu właściwém, Chemią, Historyą naturalną, Anatomią, Fizyologią i t. p. a nawet umiejętności fizyko-matematyczne np. Astronomią, Optykę i t. d.

grobowcem, pochowana pamiątka; — wznieś potém myśl do harmonii światów, otrzéj się z przesądów w jakich cię kąpano od poranku życia: a wtenczas uczujesz prawdziwą wielkość swoją.

Ale po chwili wzruszenia, gdy rzeczywistość ostudzi twój zapał — zapytasz siebie:

Czemże ja jestem w tym wszechogromie światów, gdzie się przez niezmierne obszary, organizm materyjny rozciąga i długo i szeroko i głęboko bez końca? Jeżeli w téj otchłani nieskończoności cały system słoneczny jest tylko proszkiem, atomem, prostą okruszyną, cząsteczką składową nieskończenie małą — czemże ja jestem? ja, com w systemie słonecznym niczém, a nawet mniéj niż niczém.

Czemże ja jestem w ludzkości? w tym łańcuchu ludzi spojonych ze sobą jednym duchem? Tu jestem promieniem niebieskiego światła rozlanego w dziełach stworzenia, ale promieniem przyćmionym słotą życia materyalnego. Dusza jednak, jak czysty błękit wypogodzonego nieba, nie przestaje być, czém była, czy ją wyziewy i pary ulotnione z ziemi, czy burze pychy chmurami czarnych namiętności zatoczą. Jéj przeznaczeniem jest rozjaśniać niebo doczesnego życia, przez rozproszenie mgły wątpliwości, a to rozjaśnienie wówczas tylko jest prawe, kiedy nam tak zaświeci w drodze życia, że niepodobna oprzéć się chęci postępowania tak, jakeśmy poznali i po-

znaniem uczuli. Jest to niemylne, wybitne znamię prawéj wiedzy, która inaczéj będzie połyskiem ogniska i świecącém pruchnem, co ani ciepła, ani światła nie daje.

III.

Starożytni filozofowie i niektórzy nowi poczytują Boga za potęgę rozlaną czyli przesiąkłą w naturę dla rozradzania stworzeń; co zwykle panteizmem filozoficznym zowiemy. Kiedy nauki przyrodzone były w kolebce, wyrodziła się ztąd część gwiazd, sądzono bowiem przez analogią, że w massach większych, więcéj się też objawia życia, a zatem cały świat jest ogromném żyjącém stworzeniem — stworzeniem, którego częściami składowémi były ciała niebieskie. Ksenofon chcąc dowieść, że ducha czyli pojętność bierzemy z naszém ciałem z natury, mówi: «Gdyby w świecie nie było duszy (pojętności), zaiste i w tobieby jéj nie było. Masz duszę, ta więc musi być i w świecie, bo skądżebyś ją wziął? tak więc świat ma pojętność, a zatem jest bóstwem.» Rozumowanie to zasadza się na podsunięciu nie znacznie wyobrażenia: *iż materya może myślić.* My przeciwnie przypuszczamy, że materya myślić nie może, a to przypuszczenie nabiera tém więcéj apodyktycznej niezawodności, im więcéj rozwiązuje zagadnień nastręczających się w życiu. Tak system Koperni-

ka będący właściwie hypotezą, nabierał coraz więcej apodyktyczności w miarę jak za pomocą niego rozjaśniano fakta w świecie materyjnym. Wspomnieliśmy że wyrzeczenie: *materya myślić nie może* jest przypuszczeniem: jest ono niém w saméj rzeczy, bo nie mamy sposobu przekonania się o jego niezawodności. Jakże piękny daje sąd w obecnym przedmiocie Jan Sniadecki, którego filozoficzne wykształcenie wyższe było bez porównania od mniemanych filozofów, co siebie i drugich łudzą małpowaniem filozofii niemieckiéj i pstrocizną łatek wycinanych z Kanta, Fichtego i Hegla.» Człowiek (mówi J. S.) składa się z dwóch istot całkiem od siebie różnych: to jest z duszy i ciała. Choćby ten wniosek był wątpliwy i do okazania trudny, dla tego że nie wiemy, co może a czego nie może materya, nie znając jéj przyrodzenia; wszelako, że przez takie przypuszczenie wszystko się daje wytłumaczyć, co jest pojęciu naszemu dostępne: że to przypuszczenie jest dla człowieka i towarzystwa potrzebne, dostojne, zbawienne i pocieszające; bierzemy je za pewne.»

Gallen znowu o czci gwiazd tak się odzywa: Jeśli w stworzeniu złożoném z płynów i ciała tak małem jak człowiek, jest tak wielka pojętność, cóż dopiero mówić o tych olbrzymich ciałach niebieskich: gwiazdach, księżycu i słońcu? ileż w nich pojętności być musi! Dziś nauki przyrodzone szybko posunęły się w górę, ale ta bujność wzrostu jest

tylko stosunkowa. Wiemy że starożytni błądzili, ale systemy co się rozwijają i więdną przed naszym okiem, pokazują żeśmy jeszcze nie przy słupach Herkulesa. Zaiste! wznieść wysokie rusztowanie w celu wybudowania gmachu, nie jest to jeszcze wznieść gmach niebotyczny.

IV.

Są w świecie niewinne głupstwa, na które niektórzy powstają. Jeżeli jednak wykorzenienie ich wielkiegoby wymagało nakładu pracy, a prawie żadnéj nie przyniosło korzyści, nie lepiéjże przystosować siły do czegóś pożyteczniejszego?

V.

Kiedy przebiegam rozkrzewione rośle naukowości i przychodzę do pączka, z którego to wszystko się rozwinęło— widzę że *wiedza* zakwitła na niwie *uczucia*. Ono to jest pierwszą objawą rozbudzonego ducha i pierwszą potrzebą, która w życiu potrzebuje chleba powszedniego—cnoty. Dla tego (mówi *De Gérando*) religia jest wielką szkołą ludzkości. Inne potrzeby są mniéj gwałtowne; prostaczek rozwija władzę ducha najczęściéj o tyle, ile tego wymaga przystosowanie ich do utrzymania życia. Uczucie jego jest jakby hieroglifem, w który obwinięta spoczywa myśl czyli *wiedza*.

VI.

Człowiek nim się uczyć zacznie przekonać się powinien o potrzebie nauki. Inaczéj nie zdoła się rozwijać samodzielnie, żyć będzie cudzą strawą, jak porost drzewny; wyciągać dłoń żebraczą po jałmużnę dla zubożałego ducha i chwytać pomysły świetne połyskiem nocnego ognika, pomysły które nie spłyną w tło praktycznego życia. Pracujmy więc choćby w krwawym pocie czoła, dopóki nam sił stanie — by z własnego wyżyć zarobku, a rozum ukrzepiony pracą, czerstwy i zamożny może wyłonić nie jeden rzut donośniejszy, nie jeden pomysł piękniejszy niż genialne pomysły tych, co nas poprzedzili.

VII.

W człowieku uważanym fizycznie spromienia się cała natura nieorganiczna i organiczna: dla tego starożytni jeszcze nazywali go zdrobnionym światem, niby obrazkiem całego świata.....

Dowiedli najznakomitsi naturaliści, że nawet budowa fizyczna człowieka, odróżnia go od zwierząt. Ich gruba, stężona tkanka nie zdolna jest przyjąć wyższego stopnia organizmu, w którymby można zaszczepić i rozwinąć zarody duchowości. Tak działanie zewnętrznego wpływu otaczających je żywiołów, zmniejsza skóra po-

kryta np. włosem a pokarmy roślinne, jakiemi się zwierzęta karmią (z małym wyjątkiem) sprowadzają jednostajność usposobień zwierzęcych, a zatem nie pozwalają im się doskonalić i dla ich bytowania czynią konicznym *instynkt*. Człowiek przeciwnie w każdym mieszka klimacie, każdym się żywi pokarmem: uważając na jego skórę nie pokrytą włosem, wnosimy że jest czulszy na działanie zewnętrznych wrażeń; a rozmaitość pokarmów, jakiemi się żywi, przyczynia się do wszechstronnego rozwijania sił jego zwierzęcych. Delikatnie przerobiony roczyn wielu pokarmów, uspasabia go do wyższych działań ducha i odwrotnie wpływ ducha na ciało widocznie się postrzegać daje. Żyje zatem człowiek więcéj niż zwierzę, bo na więcéj jest wystawiony wrażeń: jest to amfibium, mieszkaniec dwóch światów, rozwijający się postępnie na łonie przestrzeni i czasu. Przeciwko cierpieniom fizycznym stawia oddziaływanie ducha, a jego cierpienia łagodzi i koi błogim wpływem zewnętrznych wrażeń. Zwierzę nie postępuje powodując się *instynktem*: człowiek *rozumem* rozwijać się będzie nieskończenie. Lecz ileż to nakładu sił i pracy potrzebuje wykształcenie rozumu? Rzecz bardzo podobna do prawdy, że dla nadania większéj delikatności i sprężystości systemowi nerwowemu, osłabić trzeba system muskularny i organa trawiące a zatem ciało człowieka. Że jednak przy harmonijnéj

uprawie ducha, mózg rozwija się korzystnie dla budowy indywiduum, nie podobna aby wrażenia jakich doznaje, nie rozpłomieniały się z tego ogniska po całém ciele.

VIII.

Duchem związani z Bogiem, ciałem z materyjnym światem, zostajemy między dwiema ostatecznościami, między siłami wbrew sprzecznémi. Czyliż Stwórca, który nic bez zamiaru nie stworzył — nie chce nas przez to uprawić w działalność, abyśmy sobie wywalczali stan pośredni? — Wszak i w świecie materyjnym działają ciągle wbrew sprzeczne siły, a jednak jakąż tu harmoniją nastrojona cała natura? Widocznie więc pokazuje się, że szczęście spokojność i godność człowieka leży w pośrednim stanie między jego twórczém wznoszeniem duchowości i zwierzęcym psytacyzmem.

IX.

W uczuciu człowieka jest sumienie, zabezpieczające go od nurzania się w błędach. Któż z głębiéj zastanawiających się nie doświadczył na sobie, że to sumienie uświęca nawet i działania myśli? I téj to błogiej spokojności, téj sankcyi jaką ono

nadaje, winniśmy moc duszy, przez którą zrywamy więzy przesądów, jakiemi nas wychowanie albo głęboko zakorzenione nałogi krępują.

Pisałem w Płocku 1839 r.

J. Majerkiewicz.

O CIEMNOŚCI PISM FILOZOFICZNYCH NIEMIECKICH.

Widziałem jak pod zimnym kamieniem grobowym,
Wszystko nikło na wieki i tylko spomnienie
Niby echo samotnéj, oddalonéj pieśni,
Przebrzmiało głuchym dźwiękiem w pogrobowéj cieśni.

S. Fillcborn.

Na czele tłumaczonego na niemiecki język Obiegu (Cours) Filozofii *Cousina*, znakomity Szelling umieścił przedmowę *) gdzie roztrząsając pisma eklektyka francuzkiego wspomina w końcu o ciemności pism filozoficznych niemieckich. Zakończenie to tém bardziej zajmujące, że spłynęło z pióra najznakomitszego dziś przedstawiciela Filozofii w Niemczech, przytaczamy w skróceniu:

Niemcy tak długo pracowali nad Filozofią wyłącznie dla siebie, że ich wykład i język oddalając się coraz więcej od zwyczajnego i stając się coraz mniéj zrozumiałym, doszedł nareście w cią-

*) Ob. *Baierische Annalen* z r. 1833 Nr. 135.

głém górowaniu punktu wierzchołkowego; tak że miara odstąpienia od pospolitego sposobu widzenia rzeczy i wyrażania się, była miarą filozoficznego usposobienia autora.

Gdyby pewne rodziny odstrychnąwszy się od ogółu towarzystwa, żyły dla siebie tylko w postaci odrębnego społeczeństwa — przyjęłyby niezawodnie wyrażenia sobie tylko właściwe. Tak samo rzecz się miała z filozofią niemiecką. Po próżnych usiłowaniach dążących do rozpostarcia zewnątrz Niemiec pomysłów Kanta, Niemcy wyrzekli się nadziei, by ich kiedykolwiek inne zrozumiały narody i sobie wyłącznie nadali prawo obywatelstwa w dziedzinie Filozofii. Zapomnieli więc, że główną dążnością i przeznaczeniem Filozofii jest rozpowszechnienie jéj między największą, ile możności, liczbą indywiduów. Bez wątpienia nie idzie zatém, by się godziło sądzić o filozoficznych utworach, jak o wypracowaniach stylowych, — uważać atoli potrzeba, *że Filozofia która nie może być dostępną dla narodów oświeconych, ani wyłożoną w ich językach, nie jest prawą i powszechną filozofią.* Udział, jaki obecnie mają cudzoziemcy w niemieckiéj Filozofii, wywrze na nią pewno wpływ błogi. Dziś już pisarz-filozof który przed kilkudziesięciu laty nie mógł (bez niebezpieczeństwa ściągnienia na siebie zarzutu nieuka) oddalić się od przyjętéj terminologii i uswię-

‚onych zwyczajem formuł — może śmieléj rozkuć cisnące go więzy. Nurtować on musi głębią myśli, bo braku jasności języka nie poczyta nikt za wypływ talentu i filozoficznego natchnienia.

J. Majorkiewicz.

SZYNKI BARANKI.

(rycina Piwarskiego.)

Z końcem Kwietnia wyszła 4 rycina do Album P. Piwarskiego. Przedstawia część targu za *Żelazną bramą* w Wielki tydzień, z podpisem *«Szynki! Baranki!»* Opasły rzeźnik podnosi ogromną szynkę jedną ręką, drugą przerzuca w stosie kiełbas, widno że głosem zachęca niewidzialnych na obrazie kupców, ażeby co prędzej rozebrali towar jego. Kto widział rzeźnika Warszawskiego z jego beczkowatym brzuchem, czerwonym nosem, pełnemi policzkami i tym zuchwałym ruchem, pozna go zaraz w tej głównej figurze szkicu, cokolwiek niedbale jednakże z wielkim talentem nakreślonego. Tyłem obrócona jejmość z kobiałką, z niej wygląda kropidło, tuż obok chłop z opartym na ramieniu koszykiem, głowę jego zasłaniającym; obywatelka stojąca obok, odwraca się doń jakby

upominając o większą ostrożność i respekt, toż zdaje się zalecać Jegomość w kapeluszu zapewnie jéj mąż.— Wszystko odbywa się przy straganie wspomnionego rzeźnika w dość ściśnionéj grupie. Z drugiéj strony obrazu wiejska kobieta trzyma prosiątko wrzeszczące na całe gardło, małe dziecko przy niéj stojące, szturga je dla igraszki, — to stanowi drugą grupę. — Na środku cokolwiek ku prawéj stronie, Włoch dźwiga na głowie deskę, na niéj całą trzodę baranków gipsowych czy też woskowych, wołając baranki! baranki! Znać że rysownik téj figurze najwięcéj chciał nadać *efektu*, natura o ile w szkicu dobrze schwytana *la farniente* które Włochów i u nas znamionuje, przebija się w spuszczonéj ręce, w tym powolnym i przyciężkim chodzie— ta figura najwięcéj wykończona, i tym wykończeniem dziwnie odbija od Baby która ma go najmniéj z *figur frontowych*, za temi figurami *gmin szkiców* w półcieniu: tu kommissarz daje rozkazy JMPanu rewirowemu dozorcy, tam daléj opasła rzeźniczka siedzi nad mnóstwem szynek, kiełbas i głów świńskich. — Baba z wielką pieczołowitością niesie *koniecznego* białego baranka. — Za temi massa już nie szkiców, ale głów i główek aż do domu widnokrąg kończącego. Oto jest treść obrazu P. Piwarskiego. Jeżeli zdanie o nim ma być zupełnie bezstronne, powiemy szanownemu rysownikowi: że chociaż *in magnis voluisse sat est*, chociaż widać w tym ka-

wałku wiele zdolności, która szczerze mówiąc, nawet w tak *wielkiém zaniedbaniu się przebija*,— chociaż charakter miejscowy pomyślnie jest schwycony, jednakże rzecz tak trudna jak oddanie targu z tylu i tak różnorodnych części i osób złożonego, jest zadaniem zbyt wielkiém zbyt trudném, lepiéj go na późniéj zostawić. Rycina ta w porównaniu z trzema poprzedniemi o wiele jest niższą, bo *Zaduszki* szczególniéj zaś *Litkup*, nietylko ozdoby pokojowi, przyjemności patrzącym ale i nauki dostarczyć mogą, starowniejsze więc wyrobienie mianowicie ostatniéj byłoby pożyteczném, bo ryciny takie nie podnoszą sztuki, a może i szkodzą dając nam szkice małe, niepewne, których ani uczący się nauki, ani *amator* przyjemności nie znajdzie. Niezbraknie zaś przedmiotów do pomysłów łatwiejszych, a równie nas *interessujących* czy to w Warszawie, czy też po nad Wisłu, na których wprawiwszy się łatwiéj artyście wyrobić obszerniejsze i mozolniejsze.

Niech Pan Piwarski będzie przekonany, że nikt może więcéj jak ja nie ceni jego szlachetnego, a dla nas nader pożytecznego przedsięwzięcia, ale widząc o ile przedsięwzięcie to jest niższe w wykonaniu téj ryciny, porównanéj z poprzedniemi, czuję się obowiązanym zwrócić na to Jego uwagę i być organem głosu powszechnego.

J. Kg.

WIADOMOŚCI LITERACKO NAUKOWE.

Ks. Skolimowski napisał w łacińskim języku dzieło *o Filozofii* gdzie szczególnie loikę wysnuł z nowych zasad, na pochwałę tego dzieła; które wkrótce ma być drukowane dość powiedzieć że jest owocem długoletniej pracy b. Prof. Matematyki, który śmiało stanąć może obok genialnych naszych matematyków Frączkiewicza i Garbińskiego.

Prof. Frączkiewicz napisał w polskim języku *traktat o matematyce*: dzieło to podług zdania Pawła Jarockiego napisane głęboko i godnie autora, którego samo imie już za wielką wartość zaręcza.

Prof. Zubelewicz gotuje do druku wydanie drugie dzieła swojego p. n. *Przewodnik Giełdy* które zyskało tyle pochwał pism krajowych i zagranicznych.

W Lublinie X. Kanonik Boryski b. Rektor szkół Hrubieszowskich przygotował do druku dzieło o *Filozofii Życia.*

S. Z. Sierpiński znany w pismach naszych i zagranicznych autor *Obrazu Lublina*; przygotował do druku historyą tegoż miasta i opisy miast i zamków Lubelskich, obecnie pracuje nad drugim tomem *Gabinetu Powieści.*

J. Majorkiewicz ogłosił drukiem rys *Historyi Jeografii* obecnie pracuje nad zbiorem *Rzeczy do Historyi Filozofii w Polsce*, w dalszych zeszytach pisma naszego umieścimy wyjątki z jego dzieła *o Mnemonice*, któréj pojedyncze przystosowanie widzieli czytelnicy w niedawno drukowanéj *Nowéj metodzie uczenia się Jeografii.*

N. E. Malinowski pracuje nad dalszym ciągiem Heraldyki, któréj pierwszy tom już drukowany obejmuje teoryą.

Walgierz poemat z XI wieku, zamieszczamy mały wyjątek.

W tem pod murami słychać tentent konia,
On stanął niemy wzrok chciwie natężył,
Spogląda w koło, ale puste błonia;
Jeszcze uważa aż wreszcie z daleka,
Dojrzał cień mglisty, coś nakształt straszydła,
Upior to pewnie przed zorzą ucieka,
Rozwiane włosy i ołbrzymie skrzydła,
Lecz upior coraz bliżéj się pomyka,
A świeci blaskiem szyszaka i zbroi;

13*

Jeszcze się myli bystry wzrok strażnika,
Jeszcze się waha, w oczach mu się dwoi,
Aż wreszcie bliżej dostrzega rycerza,
Przed nim z warkoczem i szalem rozwianym,
Tuli się jakaś postać do pancerza,
»Pewnie kochanka ze swoim kochanym»
Pędzą ku bramie, ale jeśli zdrada,
To już im słońce na wieki zagasło;
I lśniącą szarfę jak do cięcia składa,
Stój! Stój! rycerzu!— odpowiadaj hasło;
Bo chociaż widzę żeś okuty złotem,
Ale mam oręż i ostry i długi,
Co padnie w piersi jak Peruna grzmotem
I krwi dostaniesz pod złotej kalczugi.» —
A złoty rycerz spójrzał w górę śmiele,
Ja hasła twego sługo Pomściborze,
Nie znam — lecz kiedy na wojsk moich czele
Stanę w obronie — to na mym toporze,
Zmaczanym we krwi mimo wrogów męstwa,
Pokażę hasło zemsty i zwycięstwa.

Autor o ile wiadomo, ma zamiar ogłosić go drukiem.

S. F.

PRZEGLĄD *)

NOWE DZIEŁA.

Obraz bibliograficzno-historyczny Literatury polskiéj wychodzi przez Adama Jecherą w Wilnie. Wyszedł poszyt 6 zawierający spis dzieł teologicznéj treści: Jeszcze z *Przeglądu Warszawskiego* napisał H. Skimborowicz obszerny rozbiór tego pisma i wypisał dzieła niektóre opuszczone w oddziale Filozofii i Teologii.

*) Zdanie *jednego z członków pisma naszego w tym numerze* o bibliotece Warszawskiéj podobało się krytykującym nazwać recenzyą i krytyką. Ponieważ i dziś nie jest naszym zamiarem pisać krytykę rozumowaną, ale raczéj w krótkich wyrazach myśl naszą o pismach wynurzyć, przeto niechcąc ściągać na siebie podobnego zarzutu część tę pisma naszego nazywamy przeglądem.

Pierwotne dzieje Polski, przez F. Henryka Lewestama Dokt: Filozofii Warszawa 1841.— Rozprawa ta napisana jest jasno i zasadnie ma ona służyć za wstęp do dzieła *o Literaturze Polskiéj* nad którą autor pracuje, jak się dowiadujemy z przemowy. Dotknięci tu badacze nasi W. A. Maciejowski i A. Tyszyński rozpoczynający zawód chociaż dość niepewnym krokiem *) nie omieszkają zapewne rozwinąć przedmiotu tak dla nas ważnego; powszechność na tem skorzysta, bo prawda, powstaje zwykle ze ścierania się w brew sprzecznych mniemań.

Miernictwo niższe ułożone przez W. Wrześniowskiego ważne we względzie praktycznego użycia. Autor uczynił wielką przysługę dla poczynających miejscami jednak jest zbyt rozwlekły. Poznajemy tu wiele nowych sposobów mierzenia, o których dotąd w naszych dziełach o *Geodzyi* nie było wzmianki.

Niezabudka noworocznik przez J. Barszczewskiego Petersburg 1841 r. do znaczniejszych kawałków z prozy należą *Sąd diablów na Trybunale Lubelskim* S. Z. Sierpińskiego *i pantofel historya mojego kuzyna* Eleonory Sztymer. *Poezye*

*) Mówimy *niepewnym krokiem* bo Autor *Amerykanki w Polsce* większą część np. rozprawy swojéj o Sławiańszczyźnie przeszczepił z Szafarzyka, a zatem z drugiej ręki, nie sięgając źródeł.

W. Dawida pełne łatwości jednak radzibyśmy częściéj widzieć *Janka* niżeli *Romanse* i *Sonety*.

Dwie epoki mego życia przez młodą Polkę, Kraków 1841. tom I. in 8.

Mały bez pretensyi romansik z celem co się rzadko dziś zdarza. Kobieta prosta tkliwa któréj życie jest treścią pisemka, stoi jako osoba niby *Anioł* przy niéj *sceptyzm egoizm*, reszta figur lekko w półcieniu dają obrazom charakter i miejscowość, sposób traktowania łatwy, Sztuka na jaką się tylko kobiety zdobyć mogą, uczucia miłe delikatne, dla mężczyzn nic tam w prawdzie nie ma, ale dla kobiet wiele się znajdzie. —

Podole Wołyń Ukraina obrazy miejsc i czasów Uw. Przezdzickiego Wilno 1841 tom. 2. edycya ozdobna, autor opisuje znakomitsze miejsca tych trzech prowincyi, wskrzeszając przywiązane do nich pamiątki historyczne i umieszczając ważne wiadomości o Wiszniowieckich Koreckich i innych familiach dawnych. Dla nadania interesu i połączenia opisuje na sposób Kraszewskiego swe o podróży wrażenia. Obadwa tomy różnią się od siebie w pierwszéj więcéj autor mówi o czasach minionych i zgromadza dowody historyczne, w drugim więcéj mówi o teraźniejszości i o sobie, w pierwszym więcej powagi i uczoności, w drugim lekkości. Dzieło to w części historycznéj może być uważane za zbiór materyałów do innego, gdyż nie ma jedności i związku w Ar-

tykułach, jednak zawsze winno być uważane za jedno z bardzo ważnych w literaturze naszéj.

Rysy Żmudzi przez K. Ludwika Adama Jucewicza Warszawa 1840.

Autor przeprawia się przez Niewiazę przebiega Żmudź zbiera niektóre podania, wygrzebuje klechd parę i te językiem prostym, językiem ludu opowiada, kończy całe to dzieło miłym artykułem o nieznanym żmudzkim poecie Welemowiczu bardzo ważny dla naszéj historyi Literatury. Styl przyjemny łatwy, obrazy trafne, czucie tęskne, w ogóle jest to tylko lekki szkic ani zbyt poważny, ani zbyt ciężki, Autor chciał bawić i wskrzesić to co zapomniano. Książeczka ta od roku już wyszła, dotąd leży bez zwrócenia na siebie uwagi i głosu waszej krytyki, a lubo mała godną jest tego.

Pisma Peryodyczne w Warszawie.

Przegląd Warszawski. — W tém piśmie silnie przebija dążność i cecha, krytyka dobrze prowadzona rozumowana, umiejętna nauczająca.

Biblioteka Warszawska. Redaktor A. Szabański zeszyt 4 i 5.

Z prozy odznaczają się *Linowski Brat i Siostra* J. M. *o trzech historyach Literatury Polskiéj o Więzieniach* F. H Skarbka, dość potworny artykuł myśli o filozofii. *Z poezyi* odznacza

się *wspomnienie* (w Imionniku NL). Cypr. Norwida, śmiałość porównań i wyrażeń, myśli zwięzłe oddawane z łatwością i mocą, oryginalność w sposobie pisania, dzwięczny i twardy język prostéj natury odznaczają wszystkie jego prace, zarzucićby można zbytnią niekiedy przesadę, i myśli w kilku miejscach prawie niezrozumiałe. *Mularz* Józefa Sankowskiego; zdaje się że dzwon Szyllera podał autorowi myśl do napisania téj poezyi. *Wisła* Henryka hr. Starzyńskiego, sztuki dosyć uczucia mało, odjąwszy tytuł napróżno szukaliśmy zapowiedzianéj Wisły, jest to sobie i Niemen, i Sekwanna, i Newa, nawet morze, a kto wie czy nie Ocean? — Do (w Imionniku) przez J..... wiele łatwości i prawdziwego uczucia.

Piśmiennictwo Krajowe dodatek do Gazety Porannéj mieści wiele artykułów mających prawdziwą wartość.

Echo dodatek do Gazety Warszawskiéj odbiło się fałszywie od prospektu: jakowaś łatanina z artykułów różnéj dążności i charakteru, niektóre znich osobno uważane nie są bez wartości, razem zaś stanowią całość bez żadnéj cechy, bez żadnego celu. *Rozmaitości* obięte samą gazetą obstoją za dodatek, artykuły w nich po większéj części humorystyczne jak np. o *Dandyzmie* bywają oryginalne, miejscowe, interessujące, sama gazeta starannie i umiejętnie redagowana. —

Zefir dodatek do dziennika Muzycznego flora. Zawiera Artykuły lekkie, tłumaczone, i ciężkie rozprawy o modach i małe poezyjki zwykle sonety.

Statek Parowy co do wartości i do formatu skarłowaciały wnuczek *Humorysty*.

POEZYA.

PIOSENKA MYŚLIWSKA.

Héj! myśliwcze, héj! gajowy,
Niechaj żyją knieje, łowy!
Nuże razem w głośny chór:
Vivat nasza myśl swobodna,
I zabawa mężów godna,
I szlachecki biały dwór!

Niechaj żyje wieś spokojna,
I piosenka z sercem strojna,

Celna strzelba, żartki koń,
I dziewica, czarownica,
Złotowłosa, krasnolica,
Modre oczy, biała dłoń.

Hej myśliwcze! hej, gajowy!
Już skończone nasze łowy;
Nuż w donośny, znany róg:
Aż usłyszy tam dziewczyna,
I wyleci jak ptaszyna,
Na zielony kwietny smug.

Wiktoryn Zieliński.

PORANEK (1)

Jnż światła zdrój pozłaca świat,
Zwilżony rosą błyszczy kwiat,
Nadzieją lśni zieloność drzew:
Już brzęcząc pszczółka zbiéra miód,
Wesołych słychać odgłos trzód,
I ptaszki ranny niecą śpiew.

(1) Piosenka ta, do której nawet mamy muzykę Pana Kroguskiego, już znana jest Publiczności—ale tylko w połowie.

Z jeziora wstaje śnieżna mgła,
Na sielskiéj flетni pasterz gra,
Owadów leśnych chmura brzmi:
Rozkoszną łąki sieją woń,
Dziewice w kwiaty wieńczą skroń,
Rzeźwiący potok w górach grzmi.

Na błoniu hasa stepów syn,
U stawu szumi huczy młyn,
Z czołenka rybak rzuca sieć:
Powstawszy z łoża ledwo świt,
Z piosenką, chociaż znojów syt,
Pośpiesza w pole czujny kmieć.

I moja Hanna wyszła już,
Oddychać wonią kraśnych róż,
Motylki lekką stopą gnać:
Ach, gdyby można tam z nią być,
W różanych krzewkach z nią się skryć,
Z kochanych ustek rozkosz ssać!

Lecz oto tam kościelny dzwon,
Zwołuje lud przed Niebios tron,
Od Boga zacząć nowy dzień,
Za ojców zmarłych pokój dusz,
Za łaskę dzieciom, plenność zbóż,
Pobożnych słyszę nutę pień.

I ja nad brzegiem idąc wód,
Stworzenia kornie wielbię cud,

Z prostaczych modłów biorę wzór:
Nad polnych kwiatów lżejszy puch,
Natchniony w górę wznoszę duch,
I hymn méj myśli łączę w chór.

Wiktoryn Zieliński.

PIOSNKA.

Precz mi z pieśniami téj miłosnéj treści!
Co chylą człeka pod urok niewieści,
Których kłamliwe, udane uczucie,
W osłabłe serce rozlewa zepsucie.

Precz mi pieszczone i słowicze dźwięki!
Niechaj ich dziecko, lub niewiasta słucha,
Dla mnie—co żyję dla serca i ducha,
Innéj, o innéj potrzeba piosenki!....

Niech będzie twarda, niech umysł zapali,
Niech zwiędłe serca w grę uczuć przywoła,
I taka smętna jako szumy fali,
I taka głośna jak trąba anioła.

Pamiętam chwilę.... niby to jak we śnie,
Niby na jawie, lat temu nie wiele,

Niewiem co było, pogrzeb, czy wesele,
Bom się obudził zapóźno, niewcześnie.

Grzmiała muzyka— z czy z ziemi czy z nieba,
Pojąć nie mogę, lecz grała tak rzewnie,
I tak wesoło dzisiaj, że wiem pewnie,
Że takiéj piosnki dla serca potrzeba....

I od téj chwili choć pieśni słuchałem,
Choć różni różne piosenki nucili,
Chociaż sam nutę przypominać chciałem,
Bo mi ją w myśli powtarzać najmiléj,
W całość jéj zebrać, zaśpiewać nie mogę.

Lecz kiedy w długą puściwszy się drogę,
Stanę na koniec u progu wieczności,
Chociaż me ciało mogiła pokryje,
I w proch zmienione rozsypią się kości,
Jeszcze uczuciem i sercem odżyję,
Kiedy w północnéj, nieprzerwanéj ciszy,
Duch mój, dźwięk takiéj piosenki usłyszy!....

M. Skotnicki.

SZTUKI PIĘKNE.

W martwych kształtach życie zbudzić,
Zgłębić namiętne uczucie,
Myśl zatrzymać, oko łudzić,
Znaleść obraz w wieszcza nucie;
Rozwinąć świata koleje,
I natury wykryć skarby,
Na jaw dobyć znikłe dzieje,
To świat malarza i farby. —

Wznieść duszę w niebios krainy,
Przeszłości wskrzesić pamiątki....
Przypomnieć szczęścia godziny,
Wzruszyć tajne serc zakątki;
Wzbudzić żądzę i uśmierzyć,
Nieść zapał w wojenne szyki,
Łzę wycisnąć, w cód uwierzyć,
To władza boskiéj muzyki.—

Lecz zgłębić przyszłość tajemną,
Uzacnić człowieka serce,
Rozświecić błędów noc ciemną,
I na geniuszu iskierce,

Przebić chmury, spojrzeć w nieba,
I nad słońca nad planety,
Wznieść tron Boga! na to trzeba,
Uczuć — i natchnień poety! —

Gustaw Zieliński.

KONIK ZWIERZYNIECKI.

(*powieść i obraz*)

rok *1560.*

I.

Na ulicach Krakowa cicho, jakby mieszkańcy go opuścili, pozamykane sklepy, pozamykane domy, czasem tylko pośpiesza trzęsąc się ku rynkowi staruszka, pacierze szepce i palcami koronkę przebiega, albo poskoczy chłopak i biegnie jakby jednym skokiem chciał nagrodzić opóźnienie, lub bursak sunie w podartych bótach, wytartej sukmanie, posuwistym krokiem, wszyscy biegną ku rynkowi po nich na ulicy zupełna cisza.— A w rynku ludzi niby kłosów na niwie, głowy ich jako kłosy gdy je wiatr pogłaszcze schylają się i podnoszą, tłum cały niby woda na jeziorze faluje się strumieni i jednym głosem śpiewa: «*Ciebie Boże chwalemy.* A ten głos jeden, z piersi tak wielu wypędzony je-

dnym czuciem wiary wzbijał się ku niebu wysoko, bo z serca kochającego z duszy wierzącéj — prócz tego głosu ludzi, był jeszcze głos dzwonów, które swym jękiem wstrząsały powietrze, i głos moździerzy które coraz na *Celstacie* donośnym załpem się odzywały. — Ale ten głos nie szedł do nieba ale pełzał po ziemi i ogłaszał światu, że dziś w Krakowie obchodzono święto *Ciała Bożego*. Na czterech rogach rynku cztery ołtarze jako cztery filary wiary, cztery strony świata, w środku kościół jako sam zawierający Pana, na około kamienice ściśnięte jako ludzie przed władzcą, ich okna pozamykane niby oczy ludzi przed majestatem — ludzi wysłali ku Panu, jako człowiek wysyła myśl i duszę ku temu co najwyższy. A wszystko składa swój hołd Bogu miasto odgłosem dzwonu i rykiem moździerza i ludźmi i milczeniem swém — człowiek modlitwą i myślą, ptak i zwierz niespokojnością, a cała natura dźwiękiem harmonii. A w rynku Krakowskim kościół Panny Maryi jako znak ręki wszechmocnéj, wieża jako palec co ku niebu wskazuje, krzyż na wierzchu to wiara. Kościół wysoki dziwnie wygięty w sklepienie poprzecinany krzyżami, smętny cichy i spokojny jak cicha wiara któréj obrazem, sześć filarów głowami swemi podpierają jego sklepienie, niby sześciu mędrców nauki niebieskiéj, a na bokach dziesięć kaplic niby tajemnice wiary a wszędzie ołtarzy wiele a najznaczniejszy jeden na nim Jezus na krzyżu a do tego ołta-

rza ciśnie się lud, bo kto się tak modli wraca z nadzieją w sercu a jeden krzyż taki jest u Panny Maryi, Kościele dla ludu, a drugi w zamku, dla króla, obaj przed jednemi wizerunkami Pana się korzą, bo o jedną rzecz proszą.—W kościele rozlegają się organy, fletniste ich tony rozlegają się pod sklepieniem, lud zgodnie z niemi śpiewa, panowie i księża, do stóp ołtarza złotą okrytego blachą się cisną. Ksiądz Ocieski ostatnie błogosławieństwo czyni, lud krzyżem żegna, myślą i słowy do nieba się wznosi i prosi szczerze, bo duże łzy padły na poczesną i z oraną twarz jego, a to błogosławieństwo, te łzy, niby iskra piorunu przeszły lud i wszyscy wspomnieli jak Józefat płakał w Jerozolimie i korzyli się i modlili — głos ich rozlegał się jak daleki grzmot pod sklepieniem, a z nimi śpiewali ci co za kościołem a głos ich głucho się odbijał o mury i szedł w niebo. Aż wylawszy uczucia swe w modlitwie, z sercem napełnionym błogością, odszedł Biskup od ołtarza za nim księża i pany i weszli do Zakrystyi. Lud wyszedł z kościoła, połączył się z tymi co za kościołem stali i jak woda rozlał się po rynku. A część ich największa hucznie i tłumno biegła koło małego kościołka S. Wojciecha, szumno i hałasnie poprzedzali ją chłopaki podrzucając czapkami w górę, podskakując na jednéj nodze i wołając *konik*! *konik*! Za niemi Pan Rajca Kleczkowski cechmistrz włóczków w czarnéj czamarze, czapce z bobrem,

dużą laską ze srebrem, szedł i prostował się, i rękę zatykał za połę czamary i odpinał srebrne haftki i marszczył brwi, bo mu krzyki chłopaków nie na rękę, a za nim chorągiew karmazynowa ze czterema proporczykami. Koło niéj majstrowie wszyscy w kapotach czarnych, wszyscy bogato, strojnie, a za cechem włóczków toczy się gromada pstra innego mieszczaństwa, co poodprowadzawszy cechy leci zabawić się konikiem, wszystko poważnie prowadzi się z żonami, a te w kapikach i kryzach kryją brody, mantelką się przykrywają, i sromają się niby i wstydają iść w takim motłochu, bo tak widzieli że Panie zamkowe robiły, coraz to odważnie spojrzą i błysną okiem z pod kwefiku tak jak to robią kiedy stoją za kramem lub w warsztacie. A co tam ludu było i jaki nie pytaj a wszystko śmiało i prędko dążyło do Brackiéj ulicy co to dwiema głowami ku Grodzkiéj i ku pałacowi Biskupa wygląda. Za tym tłumem w bok od kościoła biegł drugi nie tak rozmaity nie tak pstry ubiorem ale odgłosami chałasniejszy i dziwniejszy, a śpieszył do kościoła Panny Maryi bokami rynku koło Sukiennic na ulicy Stéj Anny.— Na przodzie Zawadzki Stanisław (*) rektor, w niebieskiéj aksamitnéj todze z gronostajem niby Książe

---

(*) Stanisław Zawadzki nazwany Picus od wielkiéj pamięci przez lat 20 piastował urząd rektora Akademii, jego urzędowanie przypada na rok 1560. p. Niesiecki.

nauki w kraju, poważnie idzie, wyniosła postawa i oko strzeliste pokazują, że to mąż, za nim Ks. Jan Dołęga professor Teologii także jak on ubrany, jeno bez łańcucha złocistego na szyi, szermują dialektyką Tomasza z Akwinu z Pawłem z Samborza. To głowy uniwersytetu przodkują mu i nauką i godnością i miłością ku dobru światła i kraju, i przodkują tak, że im nikt nie zajrzy owéj godności i każdy z młodych co ich słuchali to kocha jak ojca, a szanuje jak pana. Za niemi bez porządku skupiono i gwarnie kroczy młodzież, jest jéj na tysiąc, a wszystko dorodni nie młodzieniaszki ale ludzie co nauka im nie macocha, co to za czas niedługi rozejdą się i każdy gdzie mu naznaczono pójdzie w szczepić w kraju co mu dała matka mężów Akademia. A dziś nie jeden nie pamięta czem ma być kiedyś, gwarnie tylko rozprawiają między sobą o tém co dziś widzieli a jaka ich rozmowa rozmaita, wiele tam słów a rzeczy, trudno opisać, w niektórych miejscach to o modlitwie, o processyi, wiele takich co opowiadają świeckie rzeczy, są tacy co mniéj myślą o rzeczach poważnych ale sobie układają zabawę na jutro, a znów gdzieś cichaczem wymknie się głos przytłumiony ale ostry i cięty, to echo kłótni Orzechowskiego z Stankarem, sprzeczki te wszystkim już znane; a po wielkiéj Polsce Taborczyki gdzie niegdzie kolonie zakładają więc i w Krakowie już o tém mówią, a nie jednemu nie w smak

idzie scholastyka. Ale głos taki w téj massie młodzieży dość rzadki, i echa nie znajdzie, nie psuje ogólnéj harmonii młodzieży, wiary ducha, serca co się przebija w wesołym ruchu, śmiałym chodzie, uśmiechu na twarzy, szczerości na ustach: znajdziesz tam wszystko choć na nie jednym czamarka ledwo pasem przy ciele się trzyma, i cały ten tłum Akademików dążył do Burs które na około obsiedli Stéj Anny ulicę i cokolwiek na Wisłną wyglądają i tam ich Rektor odprowadza, i tam wstąpiwszy na chwilę znów część ich wysunęła się żywo z po za bram, i śpiesznie po za wały i mury ku zwierzyńcowi biegnie.

A za tym tłumem młodzieży za tym kwiatem co to w purpurę młodéj myśli młodego serca ozdobny wyszło z kościoła dwóch ludzi, którzy nie tylko ubiorem, ale i postacią i twarzą pokazują, że należą do Ojców.

Każden z nich inaczéj ubrany jak inszy stan jego w którym krajowi służył, na każdego twarzy inny wyraz, inne rysy, inne zmarszczki, bo u każdego z nich myśl innym sposobem działała, ale na obu twarzach jedna powaga, jeden obraz władzy, bo jedne cele koło których chodzili. Jeden z nich w fioletowéj sukni, z złotym łańcuchem co bogatym kołem obwodził szyję i spadał na piersi szedł naprzód, wysoka jego postać głowa wyniosła i w górę ją dzierżał, bo ani jéj wiek ani praca nie schyliły jeszcze, oczy siwe migocą świa-

tłem przenikliwości, nie widać w nich gry gniewu, ani gry rzewnych uczuć, czoło wysokie zorane ale zmarszczki te z trudów, widno że to ślady które zostawiła myśl w przechodzie z głowy w czyn, usta małe cienkie przycięte, to był Jan Ocieski Biskup Krakowski i Kanclerz. (*) Przy nim człowiek mały wzrostem, szczupły, ciało delikatne, zdaje się tak łatwe do skruszenia, dziwna jednak, że ruch jego prędki i krzepki jak ruch młodego zrebca, choć na twarzy nie wiosna a zima, bo i włos długi białemi szmaty głowę ubiera, i długa spiczasta broda zimą siwieje, tylko że oko niebieskie jeszcze ciska błyskawice kiedy na kim dłużéj się zatrzyma lub gniewnie spojrzy. Ba, twarz nawet w dziwnéj sprzeczności z siwizną, gładka jak młodzieniaszka tylko wyschła, zmarszczki na niéj nie ujrzysz ale wyschłe jagody ci powiedzą, że i tu życie było życiem obozów spieki i słońca, i słońca gorętszego jak nasze, a w łagodnie ściętych i uśmiechających się ustach obaczysz dworską układność, co nie pozwoli się w pole wywieść a w wysokim czole wspaniałość i chojność, że chętnie byś wszystko poświęcił w nadziei nagrody od niego, to był pan Jan Tarnowski (**) co go to lud nazywał

(*) Jan Osiecki kanclerz króla St. Aug. ur. r.   um. 1573 sławny z swoich wielkich zdolności piastował pieczęć i Biskupstwo po Tomickim.

(**) Jan Tarnowski, Niesiecki nazywa go Magnus Orzechowski.

panem *Krakowskim*, wojsko swoim Hetmanem, a Król jedynym radzcą. Co to niższy ciałem od wszystkich, ale wyższy dostojeństwy i duchem. Bogate na nim ubranie, ża nim dwór liczny, a przy tym pstrym orszaku szedł drugi, na nim barwa biskupów Krakowskich, ale skromniejsza od Hetmańskiéj, nie tak pstro rozmaita, szła cicho, poważnie, parami, czasem tylko słówko pół gębkiem się wymknie do ucha towarzysza, podobnem odstrzeli lub palcem ukaże, ale to rzadko, to jeno młodzież sobie tego pozwoli, starcy surowo za to karcą. Pan Hetman coś ważnego traktuje z Kanclerzem, bo nawet nie prosił do rozmowy ni P. Orzechowskiego, ani P, Pudłowskiego, a ci obaj wziąwszy się za ręce, idą na uboczy i rozprawiają, ich rozmowa musi być ważna, bo Orzechowski gwałtowniejszy, coraz to ręką uderzy w rękę Pudłowskiego, oczyma błyśnie, dowodami siecze, a z rozmowy pierwszych dolatują wyrazy Król w Krzyszynie, Edykta, a z rozmowy drugiéj Papież Bulle Canony. Aż gdy tak rozmawiając doszli do ulicy Brackiéj, obrócił się Biskup do Hetmana i rzekł: Azaliż łaskawy mi Panie Hetmanie, nie zechcecie mnie nawiedzieć i uświetnić tę uroczystość miasta tego swą obecnością. Tarnowski schylił głowy na znak, że uczyni zadość woli Biskupa i poszli razem środkiem ulicy Brackiéj, a tłum za niemi niby ogon komety, a lud się rozstępował jak kiedyś woda laską uderzona, coraz odkrywały się gło-

wy na przywitanie dwu mężów, których każdy znał jak braci, szanował jak ojców, kochał jak dobroczyńców; — a oni obaj słali uprzejme ukłony. Każdy się zatrzymywał z uszanowaniem spoglądał na nich, a jeżeli miał syna, mówił to Jan Tarnowski a to Ocieski, a dziecko nie wiedząc powtarzało Tarnowski Ocieski, jakky przeczuwało, że także w starości powie synom chlubiąc się, i ja ich widziałem. Matki podnoszą dzieci, żeby i one mogły ich ujrzéć, bo im się zdaje, że wzrok wielkiego człowieka ma cóś z mocy *czarownéj* a udaruje cnotą tego, na którego paść mu się zdarzy i tak prowadzeni podziwem ludu i uszanowaniem przyszli do pałacu Biskupów, którego osowiała postawa otwartemi drzwiami niby sercem w gościnnę oczekiwała, za niemi tłum dziedziniec napełnił.

II.

Za murami zwierzyńca inny obyczaj, inni ludzie, już to nie sztywne mieszczany, ani szlachta wesoło poważna. Tu słychać skrzypców piskliwe tony buczy Maryna grubymi głosy jak bąk na wiosnę w sitowiu koło skrzypek rej wodzi Janek chłopak jak chleb z mlekiem, bogaty jak Pan, co tyle piosnek umie żeby ich na byczéj skórze nie spisał, — podkówkami krzesze że aż ognia dają, czapki poprawia aż się serce śmieje, rękę za pas sadza tak udatnie jak

nie umie, a groszem sypie śmiało i okwicie, każe wynosić miodu swojej tancerce, a ta skromnie twarz wstydając się obraca, oczy spuszcza, lewą ręką fartuszka koniec miętosi, wypije, splunie i nieodwracając odda dzbanek sąsiadce, a potem skoczy do tańca raźno, ochotnie, jakby chciała nagrodzić to opóźnienie i mocniej wywija i śmielej spogląda i chasa weselej skocznego krakowiaka; za pierwszą para inne, chłop w chłopa, płowe włosy niebieskie oko, postawa siadła, taki rys Krakowiaka, co to jak długi włos z czoła odgarnie, to zda się z oczu z twarzy tryska szczerość i prostota, przy parobkach dziewki w chustkach białych, niebieskich, gorsetach okrywających pierś wydatną, w białych krótkich spódnicach, co pokazują silną nogę, nie delikatne to dziewice, ale krzepkie i mocne, bo w gminie innych nie szukaj, w gminie, co z pieluch do pracy a z pracy do truny, a rzadkie wesele a i to grube jak praca, szczere jak ona, nie patrz małej ręki, bo sierp nie rękawiczka, nie patrz białej twarzy, bo słońce nie pieści. Starzy siedzą na pryzbach i rozprawiają jako Króla Jegomości w mieście nie ma, jako Pan Krakowski jest, jako cudowne nabożeństwo było dzisiaj, jako ksieni (*) darowała podatek gospodarzom, i jeszcze więcej, spokojnie gwarliwie bez bójki, bez wódki. Bawił

(*) Wieś Zwierzyniec należała do klasztoru Panien Norbertanek w niej leżącego.

się lud, bo mu było dobrze pod wielkim miastem.... a wszystko coraz spojrzało ku klasztorowi i niecierpliwie wyglądało ku bramie przy któréj czerwona chorągiew powiewa, i duży bęben w który coraz chłopak pałeczką uderzy. Aż z bramy klasztornéj jakby wypchnięty siłą niewidzialną, wybiegł tłum ludu, samych Zwierzyńczaków i leciał drogą ku miastu, którego ceglane mury i baszty okrągłe świeciły zdala niby pas wężowy, za niemy ostatni z bramy wyszedł człowiek, cudacznie ubrany, zawój na nim niby na Turku, bogaty kaftan czerwony, ad od kaftana szerokie osłony tyftykowe, co okrywały cóś mające kształt konia do czego był przyczepiony łeb skórzany z dzwonkami i piórami i gonił za biegnącym ludem, który pierzchał od niego na wszystkie strony z żartem i śmiechem. A za nim karmazynowa chorągiew Włóczków jak sztandar zwycięztwa szamoce nad narodem, a koło niéj migocą proporczyki jakby jéj dzieci, jakby chorągiewki od dzid żołnierskich: a lud z tyłu z boków z przodu radośnie woła *ho hop, ho hop, konik! konik! uciekaj przed konikiem!*— a konik coraz to ku tłumowi skoczy żywiéj, buławą po plecach głasnie albo zwolni kroku i w tył się obraca i ludowi grozi, albo wolno między bokami harcuje i łeb konika ściąga i dzwonki odzywają się cienkim głosem, sam nic nie mówi tylko poważnie idzie, nie śmieje się tylko ku ludowi zamierza i goni i uderzy nawet, ale za to śmieją mu się tylko

wykrzywiają, tak harcując dobiega do bramy, mur miejski od ulicy Sgo Floryana przemija, brama otwarta, brona podniesiona wstrętu nie czynią, ochotnie przyjmują. Marszałkowskie draby w czerwonych kubrakach, sami się gapią, a konik i im wygraża, a te postrachy miasta, sami do niego się śmieją i wydrzezniają aż w Floriancką ulicę do wiejskiego ludu, łączy się sztywna figura czarno ubrana w długiéj opończy z kryzą mieszczanina i łosiowy kaftan i żelazna przyłbica żołnierza. Konik ciągle harcuje, goni uderza, ale nie mieszczan, tych on szanuje, nie szlachtę téj on się boi, ale na ich i swoją zabawę goni chłopaków, którzy wydrzezniając się uciekają i miny mu stroją, i tak dobiegli rynku, na nim nawał ludu bo akademia i oni przyśli także korzystać z powszechnéj zabawy «*konik* (wołają) *górą konik! wiwat konik!*» i połączyli się z ludem a rynek Krakowski przedtem pusty cichy znów stał się pełny i głośny, nie był to głos modlitwy ani nabożeństwa ale wrzask wesołości i zabawy. A wszystko skacze, raduje się, goni, kto w przód przed pałac zaleci, konik za nimi, krzyk wesołość wrzawa—i tak przebiegli rynek, wpadli na ulicę wiślną tam ścisk większy, tam mniéj dla konika miejsca, w rynku mu szerzéj; tu jak szczupak w sadzie wywijać się nie może, tylko wołaniem wesele swe wydaje. Przed pałacem Biskupów konik nie bije nikogo, boć tam wszystko poważne mieszczany, kupcy bogate, majstry zamożne, a w czę-

ści niemcy, coby polskiego żartu nie przyjęli, tylko żart i wesołość ludu dobrego wzięliby sobie za pogardę, i frasowali się z tego; więc konik poważnie idzie, tu i tam się kłania buławą, temu niżej temu wyżej jak do godności i znaczenia. Aż znalazł się na wprost otwartéj bramy pałacu Biskupa, zatrzymał się chwilę, a potem prędko, niby w pełnym galopie w biegł w dziedziniec.

III.

W pałacu na ganku ksiądz Biskup i pan Hetman społem siedzą, a przy nich jeszcze pan Bonar, wszyscy patrzą ku bramie, i wraz z ludem się radują, bo wtedy Pan nie gardził zabawą gminu..... za nimi tłumno i dwornie służba, a przy Hetmanie Orzechowski, za Biskupem Pudłowski, i Ci choć uczone męże i wyższe nad wiek swój, ochotnie patrzą, jak konik w podskokach zbliża się do progu ganku;—na trzy kroki stanął uchyliwszy buławy i niby Tatarzyn po brodzie się musnąwszy, zawołał: »JO. Xże Biskupie i JO. Panie Hetmanie Koronny i ty JW. Stolniku dziś na pamiątkę owego sławnego porażenia Tatarów co miało miejsce w r. 1240, którym to miasto od srogiej klęski ocalone zostało, obchodziém święto Konika, na którego ja krewny, po matce owego Janka, który się w owéj potrzebie tak dobrze znalazł, jako następca z cechu Włóczków wybrany zostałem,

przychodzę tedy JO. Panom Miłościwym złożyć pokorne służby moje przy objeździe tego miasta, co dla tego się czyni, aby miasto to pamiętało, jako wielkie nad nim miłosierdzie Boga, ocaliwszy go ongi od takiego niebezpieczeństwa i dając mu pasterza i rządce takie, jak miłościwi JO. Panowie.» Na te słowa odrzekł Biskup dziękując, i zawołał na pazia w czerwonym axamicie ze złotem, co stał obok niego, by puchary przyniósł. A nim wino przynieśli Biskup zapytał: jak miano Waszmości Panie Koniku? Jan Łopucha proszę Księdza Biskupa;—a Jan Tarnowski: a ileż lat ci liczą? 72 z górą JO. Panie Hetmanie. Nie wiele nam obu już się należy, bo i mnie minęło 70.— Życie nasze w woli Boga, rzekł Biskup, na co śmiercią mroczyć wesele;— i kazał podczaszemu z długiej flaszki srebrnej nalać w srebrny kubek wina, co jak krople złotej rosy z naczynia padało,— wziął z tacy złocistej i zawołał: Niech żyje Król Jegomość! za pomyślność dobrego Mta Krakowa!— i poczciwy stary Biskup wychylił duszkiem, a wszyscy obecni odkrywszy głowy wołali wiwat!! a chorągiew karmazynowa i proporczyki z nią będące, chwiały się ku ziemi na cześć, jak stado ptaków wiały do góry jakby z głosem i życzeniem chciały się wznieść do nieba— wziął konik puhar i zawołał: za zdrowie JO. X. Biskupa, JO. P. Hetmana Koronnego,— niech żyje Król Zygmunt August! i wypił duszkiem i oddał puhar Krajczemu, a lud głośno wołał, niech żyje

Biskup! niech żyje Hetman! Dwaj mężowie schyleniem głowy dziękowali za te szczere oznaki czci, i miłości, a gdy się gwar uciszył, wziął Jan Tarnowski kubek srebrny napełniony winem, podniósł i rzekł: teraz za zdrowie P. Jana Łopuchy i szlachetnego cechu Włóczków! a Waszmości proszę zachować ten kubek na pamiątkę;— tu wypił, kubek pienię́dzmy napełnił i oddał. A konik na te wszystkie słowa stał z schyloną głową, a gdy Hetman kielich mu podał, wziąwszy schował w kieszeń kaftana, schylił się znowu i skoczył, i zaczął około dziedzińca harcować, a lud ciągle wołał konik! konik! niech żyje Biskup! wiwat Hetman! a w ganku Hetman i Biskup bratnią złączeni dłonią, za niemi służba. Hetman wskazując na konika który wówczas z bramy wyjeżdżał, rzekł do Orzechowskiego: Panie Janie, warto by tę uroczystość opisać. Jaśnie Wielmożny panie jeżeli mnie co ważniejszego nie zajdzie, stanie się twojéj woli zadosyć;—a ja rzekł Melchior Pudłowski jeżeli nie zajdzie jakie ważne epitalamium, lub epitafium, odą podam go do potomności, boć miłościwego Pana bytnością uświetniony.— I nie podali go, bo śmierć Jana Tarnowskiego dała jednemu do pisania pogrzeb i żywot— drugiemu łacińską elegją (*) Jan Tarnowski wiedział co to są

(*) Orzechowskiego,—Żywot Jana Tarnowskiego wszystkim znany. Pudłowski poeta, napisał elegją na śmierć tegoż, więcéj o nim patrz Bentkowski fol.

zabawy ludu, znał ich ważność i święlość. Taki był konik w 1560 r. Co mu za początek podanie nadaje, nie wdzierając się w historyą opowiem.

Rok 1281.

I.

Wielkim był już wtedy Kraków..... rościągnął się po nad Wisłą, jako pastuch na słońcu, w koło okryty lasami, jak futrem na zimę; świecił zdala kopułami kościołów, a dolatywał uszu dźwiękiem dzwonów, co choć nielicznie ale się niekiedy odzywały i szeptały światu, że od 250 lat Kraków jest chrześciański, przedmieścia jego jak nogi potwornego robaka, rozeszły się w tę i w ową stronę, same ciało pokryte murem i wałem jak pancerzem. Na murach na wałach lud zbrojny się gromadzi— stawiają kusze, probują łuki, a wszystkie bramy jeszcze otwarte, przez bramy lud mnogi się ciśnie, zalega ulice, do domów się wdziera, kościoły napełnia. W kościołach ku niebu strzelisto gorąca kapłana modlitwa się wzbija do Boga. Kapłana modlitwie wtóruje lud tłumnie zebrany, a coraz z kościoła wychodzi obrońca i na mury śpieszy, aż wreszcie w kościele pozostali tylko kobiety, starce i dzieci.

W ratuszu Krakowskim tłumnie zebrali się panowie Rajcy, stół czarny obsiedli, ręce założyli i radzą jak miasto od zguby ocalić, miasto co na ich

głowę swą całość złożyło, a z miastem i siebie;— z Rajców najstarszy donośnie zawołał: dwóch wrogów mamy, Tatarzyn co sioła nasze podpala i wkrótce na gród uderzy, a wewnątrz głód pewny za nim zaraza; straszne to są słowa, bo to wyrok śmierci, a śmierci niechybnéj w ciężkim konaniu.— Słów tych każdy się spodziewał, przeczuwał, a jednak zadrzeli, bo znikąd pomocy, znikąd nadziei tylko od Boga, i głowy siwe na pierś opadły i łza wielka nabiegła zrenicę: o sobie nie myśleli, każdy miał miłych o których się lękał i trwożył;—słychać łoskot w podwojach, i wpadł zbrojny krwią i kurzawą okryty. »Tatarzy już palą Balice! wszystkich wycięto... ja jeden» — i upadł i skonał—tatarska strzała w piersiach mu tkwiła głęboko— a za nim wpadł drugi i głośno zawołał: »w Mogile Tatarzy część ludu wysiekli resztę na sznurach prowadzą, zaledwo nas kilku pogoni ubiegło!... Liczna ich horda jak las się posuwa, straszliwe jak wilki wściekłe, nic im się nie oprze, snać czartowskiemi walczą siłami.» A to usłyszawszy Rajcy, ku murom biegną, bramę zamykają, każą bronę zapuścić, choć z przedmieść ludzie jeszcze nie wszyscy w miasto schronili się;—i na próżno proszą, dla nie wielu miasta na sztych nie wystawią, a ci nieszczęśliwi pod bramą siadają, bo zda im się, że tam śmierć lżejsza. Na mury znoszą to kłody sękate, to wielkie kamienie, to warzą oléj lub smołę, a hałas wszędy i przygotowania do bitwy, ten o

mur ostrzy koniec rohatyny, ten łuku probuje, ów miecz waży w dłoni. W basztach się zbierają, ci co zabitych mają zastąpić. — Po murach ksiądz chodzi w ornaty odziany, do waleczności zachęca, nagrodę obiecuje, a w jego słowach, w jego spojrzeniu każdy czerpie odwagę. Aż nagle szum ustał na całym obrębie miastowych murów, jakby pomarli ci, co ich bronić mieli—nie, nie pomarli oni, lecz się dobrze umrzeć gotują, i każdy w tym miejscu gdzie miał zginąć klęka, i w piersi się bije, i Panu się modli, i siebie i swoich poleca—gorąco — nabożnie!......

Już to drugi raz Tatar rozpuścił zagony, już drugi raz miał uderzyć na Kraków, mieszkańcy już się z nim poznali, nie opuścili miasta, nie stracili głowy, a postanowili za murem bronić siebie i swoich.— Już to nie było tak, jak po porażce Szydłowieckiéj, kiedy to jeden tylko kościołek Sgo Andrzeja, mógł się oprzeć całemu nawałowi; Wrocław, Ołomuniec, pokazali, że lepiéj za murem można się oprzeć Batejowym hordom, aniżeli rozbiegać się po lasach. — A tak w Krakowie z ufnością i poddaniem Bogu, czekano rychło zaleci okropne *Allah hu*, rychło zaświszczą Tatarskie strzały, rychło zabłysną rzucone ognie.

II.

Na rybakach pod Krakowem za Wisłą w niskié ciemnéj chacie, co przez łubiane okienka ledwie

słaby promień światła przepuszcza, na łożu prostym i twardym, leżał Jan Lis, najstarszy, najbogatszy i najznamienitszy z Włóczków Krakowskich, zeszedł świat Boży wzdłuż i w szerz (mawiali ludzie) widział żółte piaski Mazowsza, bywał het za morzem w jakimś Gdańsku gdzie pono pieprz rośnie, bo go ztamtąd przywiózł na pokazanke, i daléj jeszcze póki żonki nie miał w jakichś ziemiach, co to już pewnie na krańcu świata leżą;—przywiózł też cudnych rzeczy i bogatych, tak żeby mógł i domostwo pięknie wystroić, i odziać się pyszniéj jak wszyscy, ale on nie chce stać wyżéj, kiedyś bogactwa oddawał po kościołach, późniéj chował je dla swojéj Maryni, co po śmierci żony sama mu jedynaczka została, i już od niéj się nie oddalał, tylko zawsze przy niéj, zawsze z nią. Marynie było lat 17, od lat dwóch Jan Lis szukał dla niéj męża, bo czuł, że dziewczynie może się przykrzy przy starém ojcu. Wielu chłopaków stawiało się na próżno, wszystkim dawał od kosza, bo nie dość byli zamożni, a on swoją Marynię chciał widzieć szczęśliwą i dostatnią w chudobie. Ostatni o nią prosił Janek, chłopak któremu równego niéma na całém Nadwiślu, on jeden zepchnie ręką prom krzywy do wody, burzy się nie ulęknie, pod zamkiem sześć razy wciąż Wisłę przepłynie, w tańcu nikt go nie przesadzi, w kłótni nikomu nie ustąpi, w karczmie przy sklenicy pierwszy, a ręką niedźwiedzia powa-

li; nikt mu też w drogę zajść nie śmie.—Zobaczył Marynię, na sercu mu dziwnie, zadumał, pomyślał, jakie to szczęście mieć ją zawsze przy sobie, i ojcu się skłonił i w małżeństwo prosił. I Marynia rada go widziała, a gdy przędła na kołowrotku, lub śpiewała piosnkę, co tęskną zwrotką wabi ucho nasze, marzyła o Janku; ale nikt o tém nie wiedział, bo mówić dziewczynie o dzielnym młodzieńcu co na męża patrzał nie godzi się, nie wolno; jeden tylko Rodzic wie, co się to znaczy, ale wolałby nie wiedzieć. Napróżno niedawno łzami oko rosiła córka, napróżno skłaniała się do kolan i wypraszała od innego zamężcia; — Ojciec zaprzysiągł córki za mąż Jarkowi nie oddać, Ojciec zaprzysiągł dać ją bogatemu staremu Zarębie.— Ale niemoc sroga powaliła go na łoże, niedziel kilka jak na nim jęczy, przez ten czas zasłyszał o przyjściu Tatarów, srogie myśli po głowie mu chodzą, serce mu krają; on wybieżyć nie zdolny, koło nich już nikogo, wszystko do Krakowa uciekło, a oni sami w domu zostali, i nikt w razie nieszczęścia nie myślał dać pomocy Janowi Lis ani córce. «Nie długie mi życie już i tak nie mogę szkutą dość silnie kierować, czy dzisiaj, czy później, czy pod nożem, czy w chorobie, to jedno— ale ta dziewczyna co sama pocznie! i ręce załamał, o Boże! o Panie! zlituj się nad nami!—Marynko czyż nie ma nikogo z sąsiadów?— Nikogo mój ojcze, wszystko pustką stoi oprócz naszéj chaty.—

I tak mnie ,,puścić, na łup wydać, gdy uratować można było!...... Marynko, co widać na dworcu Krakowskim?— Na dworcu Krakowskim chorągiew powiewa jak wstęga, na murach staliste błyszczą zbroice, widać na ciężką gotują się potrzebę, bo na murach pełno żołnierzy. — A niktże nie idzie ścieszką od miasta?— Nikogo nie widzę, pusto do koła.— Oj, srodze nas dzisiaj Bóg Pan nasz nawiedził i karze za grzechy wszelakie, o mnie rzecz mała, ale ty moja córko.... Droga do miasta wolna być musi, ja już sam nie mogę, ale ty uciekaj, to złoto zakopiesz przy wierzbie w ogrodzie, i te drogie sprzęty... wiem że nie ulękniesz się rydla, aby gdy wrócisz, gdy Bóg cię ocali, a Ojca już swego nie znajdziesz ażebyś niepotrzebowała żebrać litości.— Dziewczę rzewnie płakało. «Mój ojcze pozwólcie niech ja tu zostanę.... przy was, kto wam co poda gdy mnie nie będzie?— co mnie żyć na świecie gdy was nie będzie—ja się zostanę, ja mam nadzieję, że Bóg nas nie opuści!... Tatarzy może nie znajdą, znalazłszy ulitują się i nie zabiją. — Nie znajdą, oj dziecie! ty jeszcze na świecie nie byłaś, pamiętam gdy pierwszy raz wpadli, umieli oni szukać i w głębi ziemi, ani po lasach ukryć się można.... a na ich litość, tych serc pogańskich nie rachuj, mordować to ich zabawa!—Nie czekaj nie zwlekaj, zrób co mówiłem, do miasta nie jest daleko, mnie zostaw. — Nie Ojcze, ja ciebie nie opuszczę! mam w Bogu nadzieję;— miałam sen dzi-

wny wczorajszego ranka: byłam z tobą na dzikiem bezdrożu, noc była ciemna, Grudniowa, ni gwiazdy żadnéj, ni księżyca, w około okropne słychać było ryki — drżałam i płacząc modliłam się do Maryi co cudami w Tyńcu słynie, i tyś się modlił Ojcze, a z góry światłość nagle zajaśniała, i zeszła Boska Dziewica, ręką wskazała nam drogę i rzekła idźcie!—myśmy pośli a przed nami szedł anioł, w koło nas straszniejsze słychać było ryki i wycia, i ognie błyskały i szliśmy śmiało, i ja i ty mój Ojcze.... W tém anioł co drogę nam torował, stanął w progu téj chaty i myśmy weszli, a od dnia owego ja com tak drżała na imie Tatarów że ty mi ojcze napróżno wlewałeś odwagę, ja się nie lękam, tylko się modlę do Matki Najświętszéj co w Tyńcu cudami słynie. Ja ofiaruję wotum szczerozłote i świec jarzących wiele, jeżeli wyjdziemy cało z tego nieszczęścia— a jeżeli żyć będę, zajdę na klęczkach od téj chaty progu, aż do stóp ołtarza wielkiego, i tam mszy sto na cześć Maryi zakupię — teraz się modlmy, może nas wybawi— i cicha modlitwa wybiegła ku niebu, sercom zbolałym ulżyła, i mgła co umysł zaciemniała, zbiegła się we łzy, które jak ofiarne krople spadły na ziemię. — I tak chwil kilka milczeli, oj, bo strasznie było obojgu; gdyby sprosny Tatar znalazł oboje cóżby ich czekało? starca śmierć straszna, w długich męczarniach, co w ciele serce i umysł wysuszą, i mózg rozerwą—a dziewczynę?—

uścisk i miłość bydlęca, zmuszona, nad śmierć straszniejsza!— Już lat 40 minęło jak słyszał Kraków wycie Tatara, a jeszcze to wycie drżeniem przejmuje tych, co go wówczas zasłyszeć mogli. Nikt w czystém polu ostać mu się nie waży choćby zbroją ciężką pokryty, potrzeba tylko lub za murem czekać i mężnie odeprzeć, lub w las uciekać co ciemnym wiankiem na okół miasto otacza, i lasem śpieszyć w kraje, co szczęśliwsze téj plagi nie znają. — I miasto blisko i w mury swe wzywa, i las niedaleko na górach się czerni, a Jan Lis z córką czekać musi, póki nóż Tatara zimną klingą nie zmrozi krwi jego, słabość go trzyma na łożu i ręką żelazną przyciska, a krewni, a przyjaciele, nikt o nim nie pamiętał, bo chory w ucieczce zawadza, a gdy powrócą i martwe ciało obaczą, będą łzy ronić, ręce łamać, ale one go nie ocucą!

III.

»Wstawajcie Janie, żywo! łódź czeka, żywo! bo zamkną bramę miasta!—niech Chrystus będzie pochwalony, nie zapomniałem o was, o nie jak mi Bóg miły, ale nie mogłem wcześniéj Bóg widzi!— nie gniewajcie się ale śpiesznie! śpiesznie! Bo Tatarzy już nie daleko, już widzieliśmi łunę co odbiła się na niebie, a jak bramy zamkną przyjdzie zginąć!— »Ach to ty Janku, Bóg nam zesłał wybawiciela! w tobie nadzieja nasza nie była

próżna, nagrodzi ci Bóg, żeś o starcu nie zapomniał!—pomóżcie mi podnieść się, prowadźcie do łodzi, zabierzcie tylko tę trochę kosztowniejszych rzeczy, bo jeżeli wrócimy ani śladu chałupy naszéj nie zastaniem. Był to ten sam Janek co chciał Marysię za żonę, nierozwodził się długo, pomógł ojcu wsiąść w łódź, do Maryi jeszcze ani słowa nie przemówił ani ona do niego, jéj nie pozwalało wrodzone uczucie, on działając, nie mógł tego czynić, a jednak dla niéj tylko przybył, wystawił się na wszystko byle ją ocalić;—wówczas była miłość, ale miłość inna, nie lekka, w wzdychaniach, ale twarda jak kamień, ostra jak życie tych, co żyli wówczas!.... Chata wyprzątnięta, dla Tatara zostało się tylko czem ogień podniecić. — I łódź szparko szybuje po Wiśle ku zamkowi, dwa wiosła popychają ją chyżym, rączym biegiem, śpiesznie śpiesznie przybywa do zamku, stawa u furty, «Puszczaj żołnierzu! puszczaj nieszczęśliwych co się przed wrogiem schronić nie zdołali. — Precz odburknął żołdak którego przez otwór furty twarz widno, tu już nikt nie wejdzie, Starosta zabronił, żywności zabraknie, a choć miasto wezmą, my bronić musimy co Król nam oddalając się powierzył. Chcesz darów żołnierzu? będziesz ich mieć dosyć, tylko puszczaj żywo.—Darów mi nie trzeba, śmierć nasza nie daleka, do zamku nie puszczę, ruszajcie do miasta, niech was tam przyjmą. Takiż to brat z ciebie? pamiętaj, Bóg cię ciężko skarze! To

mała — ale nie wejdziecie; precz od furty! bo puszczę strzałę szparszą od Tatarskiéj, co krwi serdecznéj utoczy.... Tak mówił żołdak bojaźń pozbawiła go litości, nawet na chęć zy ku zrobiła nieczułym.

Spieszmy do bram miasta, może nie zamknięte.—I co tylko mogą z łodzi zabierają i ku miastu dążą.— U bramy Grodzkiéj tłum ubóstwa siedzi żebrze, aby ich puszczono. — Na murze kamiennym, nad bramą dębową, mąż przy mężu, żołnierz przy żołnierzu, po dwóch ich przy sobie, nad bramą najwięcéj, w fossie woda pluska, w basztach nakręcają kusze i rychtują na drogę; mostem zasłonięta brama, łańcuchy ciężkie go dzierżą, baszt dwie grubych, ciężkich z obustron bramy pod swoją opieką go trzymają. — A bramskie okienko do połowy otwarte, a z okna głos słychać: Uciekajcie ludzie! tutaj śmierć wam pewna, do miasta nie puścim, Tatarzyn nadbiegnie, mordować będzie, w lasach bezpieczniéj!— Litości Panie! spuście most, bronę podnieście, i gdzież nam z starcami, gdzie nam z dziećmi uciekać po lasach?— głos z okna odrzekł: — Tatarzyn już blisko, jeśli most spuścimy, kto wie, może z wami w miasto wpadnie. Na próżne błagania—żywność spuszczoną rozerwali, i biegli ku Wiśle co mogli, a starców i chorych pod bramą na pastwę wrogowi rzucili— bojaźń w nich litość zabiła!......

Janek to widział, serce zimno przeszło, żal oczy

zamroczył—gdzie udać się? co począć? słabego nie rzucim pod bramę, Tatarzyn zabije — choć skoro uciekać będziemy dogonią; już nie ma ratunku, zostawmy tu ojca, a sami het bieżmy za Wisłę, tam po górach nie łatwo przedrą się wrogi, bezpieczni tam od nich będziemy,—starego tu rzucimy, jemu i tak życie nie długie!.... Ty Janku uciekaj, odrzekła Marya, ja z ojcem tu zginę, bez ojca po co mi życie? i Janek zapłakał gorzko zapłakał, bo słowa dziewczyny były dla niego ciężkim wyrzutem, bo w nim odwagę bojaźni ostudziła.

Pod bramą w przedmieściu, osowiały klasztor siedzi murem grubym obwiedziony, poczerniały, z czterema basztami na rogach, na nim mury od lat 40 jakby żałobą powleczone od owego napadu z r. 1240, jakby pamiątka owego spalenia Krakowa;— tam kazał się stary Włóczek prowadzić— W nim lud mnogi i zbrojny, wiankiem stalistym obsiadł baszty i mur wysoki—lecz fossy tam nie ma ni mostów zwodzonych, przystęp tam łatwiejszy. I prośba nie próżno ku murom pobiegła, już furta otwarta, z nią nadzieja ocalenia, sercu lżéj i lepiéj. Jak gdy tonący powietrza zachwyci, i to mu życie odnowi co gasnąć zaczynało, stary Jan wszedłszy zatrzymał się, zdziwił, nie poznał klasztoru w którym był tyle razy. Kiedyś, tu głosy pobożnych, lub dym kadzideł ku niebu się wzbijały—dzisiaj gwar rotnych, szczęk miecza, łysk puklerza, dym ognisk przy których żywność gotują,

lub warzą smołę i olej, co kipiącym warem ma oblewać karki nieprzyjacioł. W środku dziedzińca, mąż w pełnéj zbrojcy na piersiach, jego kirys stalowy podobny do wód Wisły w pogodzie, nagłowie szyszak złocisty, iskrzy się jak słońca promienie, na ciele blachy stalowe, rzemieniem, spięte—to Spytek z Zasławic.—On w klasztorze dowodzi:— «Starzy i kobiéty tam! i wskazał ręką na lewą stronę dziedzińca.—Młody na mur niech się puklerzem przysłoni, miecz weźmie i dzidę i prosto na mury do zachodniéj baszty, zaraz bez zwłoki!.... Janek nie dziecko, zbroja mu nie obca, schwycił, przyodział, popatrzał tylko jak Marya w głąb klasztoru weszła,—i skoczył na mury, stanął na baszcie, oko wytężył, bo widział jak coś na drodze mignęło.

IV.

To hufiec Tatarów, było ich na tysiąc, lecą w pełnym biegu, małe konie wyciągają się pod niémi, u każdego łuk w lewém ręku, w prawéj strzała gotowa, z daleka czernieją na polu, jadą bezładnie, bez szyku.— Już wpadli w przedmieście, *Allach*! *Allach*! zawrzaśli, lecą w podwójnym pędzie ku wielu pozostawionym kalekom, wycia ich zimnem przejmują, tak jak hukania sowy przed śmiercią, otaczają biednych których na drodze spotkali —pytają chwilę— po chwili słychać jęk mocny,—krzyk, i kilka trupów nagich, odartych,

z szerokiemi ranami w piersiach zostało. Tatarzy na powrót od miasta odbiegli, a nim wyjechali z przedmieścia już ogień wybuchnął. Ku nocy się miało, gdy słupy płomienia błysnęły w ostatniem domostwie, w chwilkę wiatr pognał na dachy iskry i głownie żarzące, szereg budynków zajął się rzędem, i buchał ogniem i dymem.... ratować nie myślą, śmierć pewna, kto wyjrzy za mury!—Z murów tylko i baszt, widziano jak całe przedmieście możnego Krakowa na okoł gorzało ognistą koroną, księżyc górą świecił, środkiem ciemność dymu, a spodem płomienie, a za nimi wycia okropne! mordercze chałasy, szczęk broni, i ryki bydląt co spędzono w obóz najezdców.— A w Krakowie tak głucho jakby wyginęli ci, co go bronić mają, czasem tylko płomień błyskawicą strzeli od stalowego pancerza, lub zamigoce na chełmie tych, co na murze pokazują że się nie ulękli; w kościołach tylko modlitwę i płacz rzewny słychać, i księża pociechę leją w serca zlęknione, i dodają odwagi.— A w ratuszu Burmistrz żywność dawać każe tym, którzy po nią przychodzą, tak każdy jak może gotuje się na wroga.— W klasztorze Sgo Andrze'a każdy na miejscu gotowy do walki, co z rankiem począć się miała.

IV.

Nikt przez noc całą nie ruszył z obozu Tatarów, krzyk tylko okropny z jękiem zmięszany,

ciągle do ranka słyszano. Jeńców to mordują mówili ze drżeniem ludzie za murem stojący.... Ze wschodu się niebo powoli bieleje—po głowniach, popiołach, po zgliszczu spalonego przedmieścia, suną wściekli Tatarzy; ku bramie w prost lecą, i z giętkich łuków strzały ku murom puszczają, strzały co jadem krew warzą, świszcząc w powietrzu, grają muzykę śmierci, lecz mało która śmierć niesie, bo mur zasłania tych co go bronią; — a z miasta to belka jęcząc z kuszy wyleci, i trupem kładzie Tatarów, bo strzały rzadziéj, lecz silniéj puszczane pewniejszą śmierć niosą, a za każdą spadnie z konia Tatarzyn, i z jękiem i przekleństwem krwiożerczą duszę wyziewa. — Napróżno Mirzowie *Allah! Allah!* krzyczą, iść ku murom z drabiną nie śmieją, bo wielu tam śmierć znalazło. I cały hufiec odrywa się od bramy, okrążają mury, strzały puszczają, dzikim wrzaskiem wstrząsają powietrze.... huczy ziemia pod mnóstwem kopyt, powietrze drży okrzykami.— A na murach głuchy czasem jęk usłyszysz, lub cichą modlitwę, lub rozkaz. Tak pół doby mija.... Tatarzy szaleją, lecz miasta zdobyć nie łatwo—więc łączą się znowu, i wspólnemi siły dążą na klasztor Sgo Andrzeja, a jest ich tyle, że koń przy koniu sto razy w koło klasztor opaszą,—i z krzykiem ku murom pobiegli. Drą się, wdzierają po koniach, po trupach, chociaż ich dzidy, miecz, i belki, stosami powalili. Już rękami wierzch mu-

rów chwytają już oczyma nie jeden błysnął po nad murem, bez głów spadają a ręce pocięte wiszą u wierzchu.— dwie godzin już walczą. Tatarzyn się wścieka, coraz zacięciéj szturmuje, strzałami już cały dziedziniec klasztorny zasłany; już najdzielniejszy ich Mirza na mury się wdziera na barkach swoich żołnierzy, mieczem się zasłania, i siecze w około; już wchodzi na mury, już zedrzeć ma znamie Chrystusa, już klasztor ma być zdobyty, w tém, ręka nieznana wali Mirzę o ziemię, morduje, i głowę ciska wśród tłumów.— Postrzegli śmierć wodza, jeden okropny krzyk rozległ się po szeregach, i Tatarzy szturmem znużeni do obozu wracają.

Pod miastem znowu cisza— czasem ranny zajęknie, koń zdychający zachrapie; z murów patrzą na to zniszczenie, i liczą trupy, i odwaga w nich rośnie, serca rozradowane dziękują Bogu w krótkiéj modlitwie. I gwarniéj w mieście, biją dzwony, szum się rozchodzi, każdy się wita z drugim i dziwi, że cało wyszedł z potrzeby—w hordzie zwijają namioty, część jéj odbiega część zostaje.

A w mieście w noc radzą jak na wroga uderzyć, jak jednym zamachem zniszczyć, lecz strach mrozi, za mury wyjrzeć nie śmieją. I w klasztorze noc na radach przeszła.— Zniszczyć! wołają wszyscy, wygubić plemie pogańskie! lecz nie ma nikogo, kto się przewodzić podejmie, kto pokaże jak podejść Tatarów — napróżno Spytek z Zasławic,

namawia, by kto waleczniejszy chciał iść na zwiady, i w noc drugą w obóz Tatarski prowadzić, nikt nie śmie. — Janek stał długo, długo z myślami walczył, wystąpił nareszcie przed wodza i rzekł: «ja pójdę. Dobrze chłopie, rzekł Spytek bardziéj szlacheckie w tobie serce, jak w wielu co szlachtą się zowie—jeżeli wrócisz, dostaniesz odemnie roli co przez dzień oborzesz, i panny klasztorne o tobie nie zapomną, ani miasto; jeżeli cię zabiją, sto mszy za twoją duszę, z tych pięć śpiewanych obiecuję, jakiem Odrowąż.— Wiecież dlaczego Spytek z Zasławic chciał za murami z Tatarami ściąć się? bo głód już bladą twarzą zaglądał w mury klasztoru. — Janek na słowa jego się skłonił, niedbał o dary, bo wiedział na co się waży. Z grzeszną duszą na śmierć pewną idę, chciałbym się spowiedać. Przyszedł kapłan co z krzyżem wówczas pomiędzy rannemi chodził usiadł na murach, powiedz pyta: czem zgrzeszyłeś człowieku?— Janek długo mówił po cichu. Ksiądz słuchał powstał wreście i rzekł: idź i pamiętaj, że Święci Pańscy patrzą na cię z nieba, i radują się z twojéj waleczności, a wiesz, że idziesz przeciw nieprzyjaciołom grobu Chrystusa, co czartu duszę zaprzedali i śmierć każdego z nich przeważa na twoją stronę szalę zbawienia, może nie jeden grzech maże i na lat 100 z mąk czyszczowych uwalnia; — tak ksiądz powiedział, i odszedł, takie były na ówczas mniemania.

VI.

Janek już za murami, ściąga z nieprzyjacielskiego trupa odzież i czapkę, wciska na głowę, kładzie pod spód uzbrojenie, i o zmroku pośpiesza rączym krokiem, omija tu i owdzie porozrucane ciała zabitych, czasem nogą trąci, jęk głuchy się odezwie; znać w leżącym jeszcze duch kołace. Już przeszedł przedmieście, i dąży, a gdzie okiem zajrzy, wszystko spalone, tam gdzie niedawno zboże kołysało się popiol wieje, gdzie kiedyś ogród kraśniał jabłkami wióry tylko leżą— gdzie gościnna stała chata, dziś głównie sterczą jak kości u trupa, a w zgliszczach koście ludzkie bieleją. I łzy mu się zakręciły i spojrzał w niebo, niebo jak zawsze wesołe błyszczące tłem safirowym, świeci na rozłożony po błoniu obóz Tatarów. Janek zbliża się ostrożnie—już wszedł pomiędzy konie, co się pasą uwiązane, już dwu spotkał Mogołów, ale go wzieli za swego, nikt mu drogi nie przerywa, zbliża się coraz ku namiotom, coraz ostrożniej, wolniej idzie. Tatarzy leżą bezpiecznie, ni straży żadnej ni opatrzności, łatwo zwyciężyć, byle najść z cicha i żwawo uderzyć. Szedł na drugą stronę tam tłum jeńców krzyki i jęki—słucha i słyszy głos co bratnim językiem woła litości, pomocy, krzepnie mu serce, dreszcz go przechodzi, podstępuje bliżej—świeżego jeńca obsiedli Tatarzy, jak wilki nad ścierwem i wrze-

szczą gdzie schował pieniądze, starzec ich nie miał, modli się, prosi, a oni pierś mu obnażają, na piersi sypią zarzące się węgle, nogi sztyletami kłują, i z jęków starca, i krzyków boleści, co zda się dzikiego by zwierza wzruszyły, śmieją się!—Aż jeden z nich znudzony, uderzył w pierś nożem, i skończył męczarnie. Tysiące jeńców powiązanych, parami czekało podobnego losu.— Tak obszedł obóz, i widział wszędzie porozrucane bogactwa, i męki jeńców, i krzyk wrzaskliwy podłego wroga—a gdy już dniało, miał się ku miastu, już niedaleko, już sądzi że w miasto wejdzie bezpiecznie, kiedy od miasta zobaczył hufiec tatarów, z objazdki wracający. — Bywaj zdrowa Maryniu moja! już pewnie ciało tu wilkom i krukom zostawię. Rzucił się w rozpaczy pomiędzy trupy pomordowanych wczoraj żebraków, z trupów się chmura ptastwa podniosła, Tatarzy przybiegli, dla zabawy kilkanaście strzał puszczono, dwie strzały rozdarły Jankowi ramie—odjechali jednakże, a Janek się zwolna podniósł, i szedł ku klasztorowi.

W klasztorze radość z jego powrotu. Spytek z Zasławic z niem radzi, żołnierzy rozdziela, strzała przerzucona z listami do miasta, miastowych do wycieczki nakłania. A w mieście część się gotuje, część się modli i prosi Boga o pomoc. — Tatar po swej porażce w obozie rany swoje leczy, raz tylko hufiec mały w miasto nieliczne strzały wypu-

wypuścił. W zamku, co stoi na górze, Biskup processyę odprawia, bo dziś Bożego Ciała święto. Na niebie słońce poważnie idzie, i rzuca gorące promienie, na ziemi pusto, kruki i wilki w zgodzie, szarpią trupy ludzi i konie, Wisła spokojnie płynie, jak zwierciadło przejrzysta, wesołość jéj, nic nie miesza, chyba ją wietrzyk pomuszcze.

VII.

Już siedm gwiazd było wysoko na niebie, otwarła się furta klasztoru, z niéj wyszło 500 żołnierza, lekko uzbrojeni, pancerz tylko u nich na piersiach tarcza na ręku, w dłoni włócznia, w pasamonie sztylety;—miastowéj bramy wolno most spuszczono, wyszło 2000 mężów w milczeniu—ciche były witania, ciche rozkazy, część ich odłączyła się i bokiem krocząc zajść miała z boku, druga część prosto biegła, pierwszą poprzedzał Janek i wiódł gdzie niewolnicy związani leżeli, w drodze dowódzca lud na części dzieli, wołając: «Wam bić wroga!— Wam uwalniać braci!— Każden żołnierz czeka chwili by mieczem utoczył krwi nieprzyjaciół. W obozie też same chałasy, wrzaski i jęki, taż sama ufność i nieopatrzenie, wrą kotły ponakładane mięsiwem, przy każdém kotle mnóstwo Tatarów siedzi, pieśni chórami zawodzą, lub bezbożnych powieści słuchają. W namiotach na ustach zgwałconych branek spoczywają Mirzowie, nie-

dbając na ich łzy i płacze. Po obozie słychać jęki, co koło brańców się odzywają — nikt na to nie zważa, to brańca brat Tatar morduje — po obozie słychać szum i jakieś jeńców wołania — po obozie słychać jęk od namiotu głównego Mirzy. — Nagle rozległ się wrzask tysiąca ust Jezus Marya w imie Boga, morduj wrogów, morduj tych psów!... walka się wszczyna, z trzech stron idą Krakowianie, sieką mieczami, Tatarzyn pada, kłują dzidami, a każde uderzenie pierś głęboko porze. Tatarzy od kotłów odbiegli do kon, lecz u koni już roty stoją, rzucają się na nie, walka wre zażarta, wróg wroga gryzie, drze rękoma, tam krzyku nie słychać, tylko razy, tylko szczęk miecza, tylko plusk krwi. Z miasta posiłki biegną, więźniowie bezbronni z rozpaczą zajadłą na najezdców uderzają, męztwo w nich rośnie, wściekłość się podwaja, Tatarowi serce upada, część ich dosiadłszy koni, napowrót szlakiem ucieka, reszta się broni, chce drogo życie swe przedać. — Wszystkich wycięto, to im zapłatą—za tyle wiosek spalonych, za tyle zniszczonych grodów.

VIII.

Dzień zaświtał oświecił znowu pole trupami okryte. Spytek z Zasławic z swym ludem wraca do miasta, Janka przy sobie prowadzi i tym sposobem cześć mu oddaje, bo on zwiedził obóz Ta-

tarów, on radził gdzie uderzyć, on zawsze pierwszy dzielną ręką pole zasłał wroga trupami, a wszyscy jak byli, choć waleczni, dzielni, nikt oka nie zmarszczy, że prostego chłopa taki zaszczyt spotkał, że prostego chłopa nad innych przenoszą, że prostego chłopa Panowie szlachta jak brata prowadzą.

W bramie Burmistrz i Rajcy z chlebem z solą stoją, z płaczem ich witają, lud do nich się ciśnie, całuje odzienia, nogi łzami rosi, a Janek szczęśliwy wówczas upatruje czy nie ujrzy swojéj Maryni. Na zamku Biskup z krzyżami świętemi, idzie, jak królów przyjmuje, błogosławieństwo im daje, gdy w kościół weszli, i dzięki złożyli, i łzy dziękczynienia wylali, z mównicy głos wielki zawołał: uciszcie się, słuchajcie! «Ponieważ w nieograniczonym miłosierdziu boskim, za łaską Najświętszéj Panny Maryi, i Sgo Michała, w ten święty dzień oktawy Ciała Bożego, wojsko Tatarów miasto te oblegające, zwyciężone zostało; My Biskup Krakowski polecamy, aby na pamiątkę owego zwycięztwa, co rocznie po processyi w oktawę Bożego ciała mianéj, wyprawiać na podobieństwo owego cudownego oswobodzenia komedyą *alias misteriam*, która w postaci Tatara, ma wyjeżdżać z klasztoru Zwierzynieckiego, gdyż ku owéj stronie Tatarzyn uciekał, i nam Biskupowi składać *homagium* należne. A ponieważ Janek zwany Wiślarz, z cechu Włóczków, głównie się do tego

przyczynił, przeto rozkazujemy— aby ową komedyą sami Włóczkowie przedstawiali, a do ich chorągwie cechowéj, cztery proporczyki na podobieństwo Tatarskich dodajemy.» — A Janek? Janek od miasta w nagrodę niczego nie żądał, prosił tylko o córkę Lisa, dostał ją, a z nią wiano, i dary bogate.— Taki początek konika.—

Tatarzy niedługo Polskę opuścili, lecz głód po nich osiadł ziemię, i wraz z zarazą wiele ludzi wymorzył, to działo się za panowania Leszka Czarnego.

K.

Nie wszyscy z czytających mogą wiedzieć z dokładnością co to jest Konik. Gołębiowski w dziele swoim Gry i Zabawy, na karcie 100 obszerną nam daje pod tym względem wiadomość—i z tego to autora, niniejsze objaśnienie prawie całkowicie czerpałem. We czwartek, oktawę Ciała Bożego po processyi odbytéj z kościoła Panny Maryi, wieksza część ludu udaje się na Zwierzeniec i tam od klasztoru Panien Norbertanek do pałacu Biskupiego jakby długim szpalerem uszykowana czeka. Z samym zachodem słońca z bramy klasztornéj wyjeżdża człowiek ubrany tak jak w pierwszéj części

mojego obrazu opisałem, poprzedza on muzykę i chorągiew, a goniąc i harcując między ludem dobiega do pałacu Biskupa gdzie go tenże przyjmuje i datkiem jakowym obdarza, dziś datek ten ogranicza się do dukata złotem. Poczem w pośród tłumów ludu wraca na Zwierzeniec gdzie zróciwszy swoje przebranie, dukata ofiarowanego w szynku zwykle zostawić musi.— Rolę tego turka sami tylko wybierani z cechu Włóczków wypełniać mogą. Cech ten kiedyś bardzo wielkie miał przywileje, dziś one są zrównane i ścieśnione, lecz Włóczkowie jak dawniéj tak i dziś trudnią się spławem na Wiśle. W roku 1827 konikiem takim był Włóczek Kulisiewicz.— Konik dotąd trwa jeszcze lecz coraz mniéj mieszkańców obchodzi nie wiadomo dla czego, jest to wesoła i przyjemna zabawa, tak dobra jak wiele innych w obcych narodach przyjętych. Z ciekawością patrzymy na Wołu tłustego (boeuf gras) w Paryżu na lalkę florencką i na flamandzkie podobne zabawy, a o swoich zapominamy, chociaż one zawierają w sobie historyą z podań w krótkim dramacie wyobrażoną, która jedynie tym sposobem żyć może!... Dla czego?— Początek konika, podania wywodzą z jakiegoś napadu tatarskiego na Kraków, w czasie którego gdy już wątpiono o ocaleniu miasta, jeden z Włóczków na czele ludu uzbrojonego rzucił się na wrogów, a odegnawszy, z niebezpieczeństwa miasto wybawił. Gołębiowski fakt ten podaje na rok 1281

ja jednak cofnąłem go na rok 1287, z siedmiu bowiem napadów Tatarskich, napad w roku 1281 najmniej był szkodliwym, gdyż Leszek Czarny za nim doszli jeszcze do Sandomierza, pobił ich koło rzeki Czarnéj, gdzie ich 8000 na placu padło, a 2000 wzięto w niewolę. O napadzie zaś z r. 1287 tak się Gwagniu wyraża:

»Lata 1287 przyszła znowu wielkość Tatarów z onymiż Carami swemi Nogajem i Telbugiem do ziemie Lubelskiéj y do Mazowsza potym do Sandomirskiéj Sieradzkiéj y Krakowskiéj ziemie; wiele kościołów y zamków wybrali y palili, tylko klasztoru na Łyséj Górze niechali, prze namowę Ruską, ale indziéj wszędzie pustoszyli y szkody nieoszacowane poczynili po same góry Tatry wszędzie ogniem i mieczem pustosząc. Leszko Czarny nie mając z niemocy, uciekł do Węgier, a Konegunda żona Bolesława Wstydliwego z siostrą Konstancyą i siedmdziesiąt panien z klasztoru Sądeckiego na góry Bieskidy uciekli y z innemi kapłany, a tam przez cały czas wojowania Tatarskiego mieszkała. I wrócili się Tatarowie zwojowawszy wiele kraju, lud i płon wielki z sobą zabrali, samych dziewek 20,000 nuż inszego ludu prostego jak tam wiele z sobą wyprowadzili, żal mówić i pisać nie dopuszcza.»

W czasie tego napadu Kraków musiał być oblężony, lecz zdobyty nie został, bo Gwagnin który

wszystkie wypadki tego miasta z skwapliwością przytacza, nic w téj wojnie o wzięciu lub spaleniu onego nie wspomina. W ówczas więc mógł mieć miejsce ów czyn odważny, którego pamiątka dotąd wyżéj opisanym sposobem obchodzi się. Zabawa ta ludu nie tylko z własnéj jego ochoty, ale i z ustawy Rządu lub władz początek brać musi. — Dlatego idąc za przyjętymi w owe czasy obyczajami w Anglii, Flandrii, Niemczech i Francyi, gdzie przeorowie, opaci, i biskupi podobne zabawy edyktami swemi ustanawiają, pozwoliłem sobie i naszemu Konikowi dać za początek edykt Biskupi. — Trudność w wynalezieniu dokumentów historycznych z téj epoki, powinno mi być wymówką co do historyczności osób.



SPIS RZECZY ZAWARTYCH W TOMIE Iszym.

P o e z y a.

P r o z a.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.